Nr. 36 (1443). Warszawa, 5 Września 1908 r. **Rok XXVIII.**

PRAWDA

FILOZOFIA NAUKI SPOŁECZNE NAUKI PRZYRODNICZE HISTORYA JĘZYKOZNAWSTWO SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Rewolucja i ewolucja.

Dużo u nas wojowano wyrazami ewolucja i rewolucja. Ludzie dzielili się na zwolenników jednej lub drugiej, a tak samo dzielono i partje. Przeciwstawianie tych dwóch pojęć w sposób zupełnie naiwny stało się pewnego rodzaju miłym narowem naszej prasy. W ostatnich tygodniach czytano w jednym z poważnych dzienników warszawskich z namaszczeniem wypowiedziane uznanie dla sułtana tureckiego, za jego mądrą politykę, gdyż „gwałtownej rewolucji" przeciwstawił „spokojną ewolucję".

Takie nadużywanie wyrazów świadczy o zupełnym ich nierozumieniu.

Sułtan — jak każdy inny władca w tym wypadku — nie miał wyboru między rewolucją i ewolucją, lecz między rewolucją a kontrrewolucją, a z dwojga złego (z jego punktu widzenia) wybrał pierwsze. Czy dlatego, że wolał, czy dlatego, że musiał — w to nie wnikam, gdyż w rzeczywistości na jedno to wychodzi. Jak w Turcji tak i wszędzie indziej w analogicznym położeniu wybór między ewolucją a rewolucją nigdy nikomu nie przysługuje. Rewolucja jest bowiem tylko wtedy możliwa, gdy niemożliwą jest ewolucja i na odwrót. Jedna drugą wyklucza lub jedna drugą zastępuje — jak kto woli.

Najskrajniejsze, najdalej idące w swych programach partje są ewolucyjne tam, gdzie ramy politycznego życia na ewolucję zostawiają dość miejsca, najskromniejsze w dążeniach stają się rewolucyjnymi, gdy nawet bardzo umiarkowana ewolucja trafia na zapory, które przełamywać musi.

Jest to bowiem kwestja taktyki i środków — a nie kwestja zasad, programu i celu. Jak dla przekopania kanału w jednym miejscu potrzeba dynamitu, w innym wystarczy łopata, tak dla zdobycia pewnych form politycznego lub społecznego życia w pewnym środowisku starczy taktyka ewolucyjna, w drugim niezbędne się okazują rewolucyjne środki. Nikt nie ucieka się do prochu i dynamitu dla przebicia pokładu gliny lub piasku — i nikt w dzisiejszej Anglji nie stworzy rewolucyjnej partji, choćby był największym entuzjastą minionych i współczesnych ruchów rewolucyjnych.

Z tego wynika, że żaden polityk i żadne stronnictwo nigdy wiedzieć nie może, czy jego program — o ile jest traktowany na serjo — da się na drodze ewolucji w życie wcielić.

Program konstytucyjny w Rosji przed 4-ma laty mieścił w sobie domniemany czynnik rewolucyjny; był nielegalnym, mógł się urzeczywistnić tylko na drodze obalenia istniejącego porządku. Toż samo było w Turcji przed rokiem. Dopiero po dokonanej rewolucji, czyli po obaleniu istniejącego porządku prawnego przez Młodą Turcję i po przystąpieniu sułtana do rewolucji — inaczej bowiem jego kroku nie można określić, stała się możliwą ewolucja, czyli stopniowy rozwój i udoskonalenie nowego porządku.

Rewolucja utorowała drogę ewolucji w Turcji — tak samo, jak we wszystkich innych państwach europejskich, w których się w analogicznych warunkach przełom dokonał. Otóż w danym wypadku, kto chce ewolucji, musi chcieć i rewolucji — w myśl zasady: „qui veut la fin, veut les moyens".

Wszystko co hamuje naturalną, spokojną ewolucję, gromadzi materjał palny do rewolucyjnego wybuchu. Kto swego domu nigdy nie odnawia, naraża się na to, że będzie go musiał zburzyć lub zostanie zasypany pod jego gruzami. W tym rozumieniu zatym reakcja toczy wodę na młyn rewolucji, a wszelkie tłumienie jej przez kontrrewolucję jest tylko jej odroczeniem lub przedłużeniem.

Mamy obecnie dwa niezmiernie ciekawe widowiska dziejowe, potwierdzające te uwagi: rewolucję turecką i perską.

Bardzo zrozumiałą jest duma, z jaką Turcy zapytywali odwiedzającego ich Milukowa: „Czy nam nie zazdrościcie"? Istotnie— jeżeli przebieg przewrotu tureckiego nadal będzie tak pomyślny jak dotąd, wszystkie ludy będą mogły zazdrościć Turkom, że tak wielkie swobody okupili tak małym kosztem. Pytanie jednak, czy samo obliczenie kosztów będzie trafne i ścisłe.

Ustrój państwowy turecki obrazuje bowiem zupełnie dokładnie owa nigdy nie odnawiana rudera, której zburzenie stało się oczywistą dziejową koniecznością. Te straty, cierpienia i klęski, któremi gdzieindziej okupywano rewolucję—Turcja znosiła kosztem jej odraczania. Półwysep Bałkański był w ciągu całego wieku areną walk zewnętrznych i wewnętrznych, obrazem ruiny i upadku, kotłem nieustającego wrzenia, krainą bomb dynamitowych, band rozbójniczych, krwawych napadów i równie krwawego uspokajania ich i poskramiania. Dopiero rewolucja — a raczej jej defini-

(ywne zwycięstwo, niby czarodziejskie zaklęcie, położyło odrazu kres tym bolesnym wstrząśnieniom, i zdaje się — rozpoczęło okres pokojowego odrodzenia. Mówię: zdaje się — gdyż dalszy przebieg wypadków zależy w zupełności od tego, czy żywioły kontrrewolucyjne będą miały dość siły i odwagi, by obecny spokój zamącić, ewolucję zatamować a rewolucję przedłużyć — lub znowu odroczyć.

Po prostu mówiąc, wszystko zależy od tego, czy w Turcji powtórzy się to, co się dzieje w Persji. I tam bowiem początkowo zanosiło się na przewrót pokojowy — czyli rewolucję bezkrwawą, a gdyby nie mobilizacja reakcyjnych żywiołów przeciwstawiających się wolnościowym prądom, i tam już o tej porze wypadki potoczyłyby się może spokojną, ewolucyjną koleją. Ten właśnie czynnik decyduje o charakterze rewolucji i o jej kosztach.

Zupełnie mylnie wyobrażamy sobie, że cechę zasadniczą rewolucji, są jej krwawe akcesorja, pożoga, mord, zniszczenie. Jeżeli one nieomal stale rewolucji towarzyszą, to właśnie dla tego, że stary porządek — choć już się wali — dobrowolnie nie ustępuje z placu nowemu i to tem mniej, im krócej trwał ów kres wewnętrznego gnicia i rozkładu, który rewolucję nieuchronną czyni.

Jest jednak rzeczą wielce wątpliwą, co pociąga więcej strat i ofiar w ludziach, w kulturalnym dorobku, w ekonomicznych zasobach — czy silne lecz krótkie rewolucyjne wstrząśnienia, czy też owo powolne gnicie i rozpadanie się w gruzy i zgliszcze ustroju, który może jeszcze trwać — lecz już żyć i rozwijać się nie może.

Najkrwawsze są te rewolucje, które się nie udają.

Powróćmy jeszcze do Turcji i Persji. Jeżeli w tej ostatniej reakcja weźmie górę— czeka ją okres wewnętrznego rozkładu i takiej bezsilności na zewnątrz, która upoważni bliższych i dalszych sąsiadów do nieustającej interwencji, do opieki kosztownej, eksploatującej jej wewnętrzne rozterki na korzyść interesów obcych. Jeżeli w Turcji ustali się nowy porządek, kraj wyemancypuje się z narzuconej mu kurateli, a rozwój wewnętrzny, gospodarczy i kulturalny umocni jego zewnętrzna niezależność i powagę. Już dzisiaj dają się odczuwać błogie następstwa dokonanego przewrotu: Gotówka napływa do skarbca, administracja staje się mniej kosztowną, zagraniczni opiekunowie wracają, skąd przyszli.

Szkoda, że ani narody, ani pojedyncze jednostki nie umieją się uczyć cudzym doświadczeniem. Każdy musi brać osobne, prywatne lekcje, które kosztują drogo i pozostawiają sińce i czerwone pręgi na skórze.

Zdumiewająca mądrość i dojrzałość Turków jest właśnie owocem tej twardej edukacji karami cielesnymi popartej, jakiej jej udzielał w ciągu długich dziesiątek lat — koncert europejski przy współudziale ujarzmionych przez nią a stopniowo wyzwalających się ludów.

Kto chce próbować tego—co one systemu, może dojść z czasem do tych samych rezultatów.

Iza Moszczeńska.



Polityka rabunkowa.

I.

Cechą naszą odwieczną, w której się rodzimy, umieramy, która towarzyszy zarówno życiu jednostki pojedynczej, jak i wszelkim naszym przedsięwzięciom zbiorowym — cechą snać organiczną, nabytą drogą rozwoju historycznego naszej społeczności — ogólnie znaną, stanowiącą ciągły przedmiot utyskiwań, jednak bez zaradzenia złemu — cechą, która nas zgubiła nieraz, a świeżo w czasie ruchu wolnościowego była tą śliską koleją, po której potoczyła się nasza niewyszkolona natura, by przy pierwszej sposobności udowodnić przed światem, że jesteśmy morituri, — cechą wielkich naszych miast i głuchej prowincji, znanych działaczy społecznych, publicystów, pisarzy, przemysłowców i t. d., ludzi wszelkiej miary i zawodu — cechą naszą powszechną, nie wyłącznie co prawda naszą, ale przy braku innych dodatnich, dominującą — jest życie z dnia na dzień, życie rabunkowe bez najmniejszej dbałości o ogólne dobro, o pokolenie przyszłe.

Jesteśmy społeczeństwem wiecznie łaknącym, wiecznie dążącym do samodzielnego istnienia, lepszego bytu, lecz w rzeczywistości—wegetacja jest najodpowiedniejszą dla nas atmosferą, gdyż żyjemy w niej całemi dziesiątkami lat, nic nie czyniąc, z obłudną skargą na ustach na zewnętrzne siły, które jakoby udaremniają wszelkie nasze dążenia.

Bajki! Jak użylibyśmy wolności, gdyby nam zdjęto okowy, to jeszcze wielkie pytanie. Zechciejmy sobie na chwilę przypomnieć budujący obraz naszej solidarności społecznej, mądrości politycznej, dyplomacji przebiegłej i innych cnót nieodzownych, gdy ogłoszona została konstytucja i wypadły pierwsze wybory.

Dziecinada połączona z wybiegami, będącymi w rozterce z uczciwością, negowanie niby ordynacyi wyborczej, a korzystanie z jej usterek na niekorzyść przeciwnika — brak solidarności tam, gdzie chodzi nie o prawa, a o *prawo* do praw, smutne rezultaty wreszcie, jakie otrzymaliśmy za naszą wieczną taktykę — życie rabunkowe—czy i to też stworzyły te zewnętrzne siły — czy też wszystko to było wynikiem naszych wewnętrznych usterek? Przypuśćmy nawet, że szkoła walki naszych przeciwników była niespodziewaną dla naszych szermierzy, to jednak winy naszej, nie w znaczeniu, abyśmy zawinili, lecz że nie byliśmy przygotowani i nie przewidzieliśmy — było wiele. Rozłam trwający w N. D. obecnie potwierdził to najlepiej.

Jeżeli byśmy chcieli sięgnąć do innej przegródki życia naszego czy to pedagogicznej czy społeczno - ekonomicznej, to

3)

ANDRÈ GIDE.

IN MEMORIAM.

Pamięci Oskara Wilde'a.

(Ciąg dalszy.)

Wszystko to razem przejmowało mnie podziwem, zachwytem i trwogą. Wiedziałem, jak stanowisko jego jest zachwiane; wiedziałem, jakie są przeciw niemu niechęci, napaści, i jaki ponury niepokój taił się pod zuchwałą wesołością.[1] Mówił o powrocie do Londynu. Markiz Q. ubliżał mu, przyzywał go i posądzał o ucieczkę.

„Ale cóż się stanie, czy pan wie, na co się pan naraża?

„Tego nie należy nigdy wiedzieć... Nadzwyczajni są ci moi przyjaciele; doradzają mi przezorność. Przezorność! Lecz czyż ja mogę być przezornym? Byłoby to cofaniem się, a ja muszę iść naprzód tak daleko, jak tylko można... A że nie mogę już iść dalej... Musi się coś stać — coś innego"...

Wilde odjechał na drugi dzień okrętem. Dalszy ciąg wiadomy. To coś innego było to „hard labour".

III.

Natychmiast po opuszczeniu więzienia Wilde wrócił do Francji. W odosobnionej mieścinie Ber w okolicach Dieppe osiedlił się niejaki Sebastjan Melmoth. Był to Wilde. Z przyjaciół jego Francuzów — ja widziałem go ostatni; zapragnąłem również zobaczyć go najpierwszy. Pospieszyłem też jak tylko zdołałem dowiedzieć się o jego adresie.

Przybyłem około południa. Przyjeżdżałem niespodziewanie. Melmoth miał wrócić dopiero wieczorem; był w Dieppe dokąd go ciągnęła serdeczna gościnność pana T... Wrócił jednak dopiero o północy.

Było to jeszcze prawie zimą. Zimno było i brzydko. Cały dzień wałęsałem się po opustoszałem wybrzeżu znudzony i zniechęcony. Że też Wilde mógł wybrać B... na miejsce stałego zamieszkania? Tak tam było posępnie.

Nadeszła noc. Wróciłem, aby zamówić sobie pokój w hotelu, w tym samym, gdzie mieszkał Melmoth, w jedynym zresztą w tej miejscowości. Hotel czysty, w ładnem położeniu, dawał schronienie jedynie kilku istotom podrzędnym, kilku bezbarwnym figurom, z którymi musiałem jeść obiad. Smutne zaiste towarzystwo dla Melmotha!

Na szczęście miałem ze sobą książkę. Co za ponury wieczór! jedenasta... Miałem już dać za wygraną, kiedy usłyszałem turkot powozu. P. Melmoth powrócił.

P. Melmoth był przemoczony do nitki. W drodze zgubił paltot. Niedarmo pawie pióro, które mu w wilję dnia przyniósł służący, wywróżyło mu nieszczęście (straszna wróżba); dobrze że na tem się ograniczyło. P. Melmoth drżał z zimna — cały hotel był w ruchu, aby mu przyrządzić „grog". Ze mną ledwie się przywitał. Nie chciał przynajmniej na zewnątrz okazać wzruszenia.

[1] Podczas jednego z ostatnich wieczorów w Algierze miałem wrażenie, że Wilde postanowił sobie nie powiedzieć ani słowa poważniejszego. Wreszcie jego przesadnie dowcipne parodoksy poczęły mnie trochę drażnić: „Ma pan przecie lepsze rzeczy do mówienia nie zaś ciągłe żarty — począłem — przemawia pan do mnie dziś wieczorem jak do publiczności; tymczasem pan powinien przemawiać do publiczności tak, jak pan niekiedy umie przemawiać do swych przyjaciół. Dlaczego np. pana sztuki nie są lepsze? To, co w panu najlepszego to pan wypowiada — czemu pan tego nie pisze?"

„Ależ, żywo odparł, moje sztuki nie są wcale dobre; i nic mi na nich nie zależy. Lecz gdybyś pan wiedział, jakie one są zajmujące!... Wszystkie prawie są wynikiem zakładów. Nawet Dorjan Grey. Napisałem go w ciągu kilku dni, ponieważ jeden z moich przyjaciół utrzymywał, że nigdy nie mógłbym pisać powieści. Pisanie tak mnie nudzi!"

I dodał, przychylając się nagle ku mnie: „chce pan wiedzieć, co było dramatem największym mego życia? To, że włożyłem gienjusz w swe życie — w swe dzieła zaś tylko talent".

wszędzie spotkamy się z tym samym życiem rabunkowym, z tą tylko różnicą, że w polityce objawy tego realne są dość rzadkie, gdy w życiu społecznym są zjawiskiem codziennym.

Pomijając narazie codzienne szare życie naszego ludu w atmosferze gospodarki rabunkowej, o czym będę mówił szczegółowo poniżej, dość wskazać na życie choćby naszej Warszawy, gdzie jako w centrum Królestwa, najłatwiej można wykazać, że wszelkie większe akcje społeczne, niezależnie od tego, kto jest ich inicjatorem, przeważnie noszą na sobie wszelkie cechy rabunkowej polityki w dodatku świadomej.

Weźmy na przykład tak ważną gałęź społecznej działalności jak szkolnictwo.

Gdy pojawiła się możność zakładania szkół polskich i cała ich sieć pokryła nasz kraj—pierwszym, kto pokazał drogę do polityki rabunkowej nawet na tym gruncie był kler, a za nim poszła N.-D., jakkolwiek nie wszyscy z prowodyrów N.-D. byli zwolennikami tendencyjnej nauki.

Sławetny zjazd prefektów i jego humorystyczne uchwały, przeszły wszelkie granice zdrowego rozsądku, — były tym jaskrawym antyobywatelskim przykładem rabunkowej gospodarki, na jaką mógł się zdobyć tylko kler, który dla ugruntowania swych wpływów moralnych i dochodów materjalnych nie wahał się przyczyniać do upadku samej instytucji, jeżeli tylko spotykał w niej opór, jak to było z Macierzą, a raczej niektórymi jej oddziałami, które nie chciały iść pod komendę proboszczów.

Przykładów możnaby czerpać bez liku z różnych dziedzin życia, (np. z dziedziny artystycznej, Filharmonja) i wszędzie polityka rabunkowa jest przewodnią ideją czy chodzi o prawa polityczne, czy szkolnictwo, czy gospodarkę wsi czy miasta. Odkryta przez *Goniec* działalność obywatelska magistratu pomimo milczenia innej prasy zrobiła duże wrażenie.

Lecz niestety jest to kropla w morzu, takich magistratów jest u nas więcej—niema tam prawda prezydenta, ale jest wójt i pisarz, a obywatelem nasz ciemny chłop. I wypadnie nam się zastanowić, kto właściwie bierze z kogo przykład, czy gminy z magistratu Warszawy, czy magistrat z gmin.

(D n.) *Feliks Honowski.*

Metody propagandy wolnej myśli.

Dla osiągnięcia najlepszych skutków pracy wolnomyślnej, winniśmy nadewszystko baczyć na metodyczność, planowość i wielostronność owej pracy. Metodyczność i planowość są tu niezbędnymi warunkami owocnej działalności, gdyż walcząc z pojęciami przekazywanymi z pokolenia w pokolenie w ciągu wielu stuleci, można wykorzenić je z umysłów jedynie drogą oględnego i stopniowego oddziaływania na poszczególne dziedziny uczucia i myśli, drogą stałego, konsekwentnego wyzwalania z przesądów, poczynając od najstarszych, w umysłach jeszcze pokutujących przeżytków, a kończąc na najsilniejszych wierzeniach, decydujących częstokroć o całem psychicznem życiu jednostek i społeczeństw.

Wielostronność jest również niezbędnym warunkiem rozsądnej propagandy wolnej myśli; na każde uczucie zbiorowe, na każde wierzenie, na każdy dogmat religijny czy społeczny złożyło się tyle czynników historycznych, politycznych, społecznych i ekonomicznych, że w walce z przesądami jednostronność, t. j. sprowadzanie wszystkich wysiłków do jakiejś wyłącznej akcji w jednym tylko kierunku nie może dać nigdy pożądanych rezultatów. Tak np., przeciętny zapaleniec propagujący wolną myśl, wszystkie przesądy kładzie na karb kleru i przypisuje mu rolę wyłącznego twórcy wierzeń religijnych; religja jest dlań „oszukańczym wymysłem kleru". Tego rodzaju propaganda jest z gruntu fałszywa i szkodliwa; przez ciasne, niesprawiedliwe oświetlenie powstania, rozwoju i roli przesądów i dogmatów, utrudnia się niezmiernie wyzwolenie umysłów. W danym wypadku z taką metodą nie sposób nawet przystąpić do tych sfer, które widzą w swych kapłanach ludzi całkiem szczerych i ludzi dobrej woli, co, choć względnie rzadko, lecz czasami jest faktem niewątpliwym. Nie potrzebuję tu przytaczać licznych i aż nadto dobrze znanych przykładów zgubnego wpływu jednostronności, która w każdej walce prowadzi szybko i fatalnie do sekciarstwa, czyli do istotnego zaprzeczenia wolnomyślności. Działalność wolnomyślicieli musi się odznaczać brakiem wszelkiej ciasnoty, a metoda propagandy polegać musi na jaknajbardziej wszechstronnem oświetlaniu i krytyce przesądów. O tem — niżej.

Jedną z kardynalnych zasad działalności wolnomyślnej jest to zasada tolerancji. Jak winniśmy pojmować owa tolerancję? Jakie granice jej wykreślamy? W jaki sposób można walkę z przesądami religijnymi pogodzić z zasadą tolerancji religijnej? *Kwestja tolerancji religijnej jest bodaj najpoważniejszym zagadnieniem działalności wolnej myśli.* Sama istota tolerancji religijnej t. j. wolność wyznawania takich lub innych wierzeń jest pierwszym postulatem wolnomyślności. Z drugiej zaś strony wierzenia i dogmaty, przeczące nauce i codziennemu doświadczeniu człowieka, tamujące umysłowy rozwój społeczeństwa, podtrzymujące stan moralnej niewoli — stają się z konieczności przedmiotem walki w imię nauki, postępu i demokracji. Dwa te fakty społeczne: wolność wierzeń i prawo walki z wierzeniami stanowią napozór sprzeczność i wydają się niewspółmiernymi. Powiadam *napozór*, gdyż tylko od metody tej walki, od jej zasad zależy pogodzenie dwóch praw: prawa swobodnego wyznawania dogmatów z prawem walki z temi dogmatami. Metoda ta polega na kierowaniu się zasadą, że nikt nie może cierpieć za swoje przekonania religijne nietylko w tym znaczeniu, że nikt z racji swej religji nie może być ograniczany w prawach obywatelskich, lecz także w sensie zapewnienia każdemu poszanowania jego uczuć religijnych. Zasada ta obowiązuje zawsze w pracy wolnomyślnej. To też wolnomyśliciele nigdy i nigdzie, nawet tam gdzie stanowią siłę wielką, nie odmawiają ludziom wierzącym prawa swobodnego zrzeszania się w instytucje wyznaniowe i całkiem swobodnego zadowolenia swych potrzeb religijnych; natomiast odmawiają im jedynie prawa mieszania się do spraw, wychodzących poza granice religijnego życia t. j. do spraw państwowych, politycznych, do urządzeń społecznych i t. p.,

---

Moje wzruszenie zaś mija prawie natychmiast, skoro widzę, jak dalece Sebastjan Melmoth przypomina dawnego Oskara Wilde'a, lecz nie liryzującego szaleńca z Algieru, a łagodnego Wilde'a z przed przełomu i przeniosłem się myślą nie o dwa lecz o cztery lub pięć lat wstecz; to samo spojrzenie rozbieżne, ten sam śmiech rozbawiony, [illegible]

Zamieszkuje w hotelu dwa pokoje. Dwa najlepsze pokoje, które sobie kazał urządzić ze smakiem.

Na stole masa książek: między innymi pokazuje mi moje „Nourritures terrestres", które niedawno ukazały się w druku: w cieniu na wysokiej podstawie posąg gotycki Matki Boskiej.

Siedzimy sobie obaj przy lampie, a Wilde popija grog małymi łykami. Przy jaśniejszym świetle spostrzegam, że skóra na twarzy jego poczerniała i zgrubiała; na rękach jeszcze więcej, mimo że po dawnemu przyozdabia je w pierścienie; jeden mianowicie, do którego bardzo jest przywiązany, ma w ruchomej oprawie skarabeusza egipskiego z lapis lazuli. Zęby ma szalenie popsute.

Gawędzimy. Przypominam mu ostatnie nasze spotkanie w Algierze. Zapytuję, czy pamięta, że wówczas prawie że przepowiedziałem mu późniejsze smutne wypadki.

„Prawda, rzekłem, że pan wiedział mniej więcej co pana oczekuje w Anglji; przewidywał pan niebezpieczeństwo; czemu rzucił się pan w nie bez namysłu?"

(Zdaje mi się, że na tem miejscu najwłaściwiej postąpię, przepisując to, co zdołałem zapamiętać i spisać w krótki czas po rozmo-[illegible]

O! naturalnie, naturalnie; wiedziałem, że katastrofa nastąpić musi — taka lub inna — oczekiwałem jej wyroku, tak się musiało skończyć; bo niech pan pomyśli — nie podobna było posuwać się dalej, a taki stan nie mógł trwać dłużej. I dlatego, rozumie pan, musiało się raz skończyć. W więzieniu zmieniłem się całkowicie. Liczyłem też na to, coprawda. H... jest straszny: nie może tego zrozumieć; nie może zrozumieć, że nie wracam do poprzedniego trybu życia; oskarża innych za zmiany, jakie we mnie zaszły... A jednak nie powinno się powracać nigdy do minionej egzystencji... Życie moje jest dziełem sztuki — artysta nie poczyna dwa razy tego samego dzieła — chyba że mu się ono nie udało. Moje życie przed więzieniem zaś było najzupełniej udane... Obecnie są to już rzeczy dokonane".

Wilde zapalił papierosa.

„Publiczność jest okropna, gdyż patrzy na człowieka tylko przez ostatni z jego uczynków. Gdybym w tej chwili powrócił do Paryża widzianoby we mnie wyłącznie „skazańca". Niechcę też tam się ukazać przed napisaniem dramatu. Do tej chwili muszą pozostawić mnie w spokoju". I po chwili dodał porywczo: „Prawda, że dobrze zrobiłem przyjeżdżając tutaj? Przyjaciele moi namawiali mnie na wyjazd na południe dla wypoczynku, z początku bowiem byłem niezmiernie zmęczony. Poprosiłem ich jednak, aby mi wyszukali gdzieś w północnej Francji malutką miejscowość nadmorską, gdzie nie spotkałbym napewno nikogo, gdzieby było bardzo ciemno i gdzieby prawie nigdy nie świeciło słońce. O — prawda — to dobrze, że zamieszkałem w B..."? (Czas był istotnie ohydny).

Tutaj wszyscy są dla mnie bardzo dobrzy. Szczególniej zaś proboszcz. Tak strasznie lubię malutki kościołek tutejszy! Czy uwierzy pan, że nazywają go „Notre Dame de Liesse". Prawda jakie to śliczne! A teraz wiem już napewno, że nigdy nie będę mógł opuścić B..., gdyż proboszcz dziś rano ofiarował mi stałe miejsce na chórze.

„A tutejsi urzędnicy komory celnej! Tak się tu niemożliwie nudzili! Zapytałem ich raz, czy nie mają nic do czytania i obecnie noszę im powieści Dumasa ojca... Prawda Panie, że powinienem tu pozostać?

A dzieci! Dzieci uwielbiają mnie poprostu. W dzień jubileuszu królowej urządziłem wielką zabawę, wielki obiad, na który zaprosiłem czterdzieścioro dzieci ze szkółki; wszystkie, wszystkie dzieciaki i nauczyciela! dla uczczenia królowej. Prawda? jakie to bajeczne! Pan wie jak kocham królowę! Mam zawsze ze sobą jej portret". I wskazał mi przybity na ścianie portret Nicholson.

Wstałem, aby mu się przyjrzeć; obok stała mała biblioteczka; zatrzymałem przez

z tego właśnie względu, że polityczna władza kleru, popieranego moralnie i materjalnie przez Państwo, a przez to samo posiadającego moc i prawo przymusu religijnego — przeczy kardynalnym zasadom tolerancji.

Kler zazwyczaj pojmuje tę tolerancję na swój fałszywy sposób t. j. nie jako *prawo swobodnego wyznania* takich lub innych wierzeń, lecz jako *prawo swobodnego rządzenia* wiernymi swoich świątyń i zgodnie z takiem pojmowaniem rzeczy żąda od państwa poparcia. W społeczeństwach, gdzie poparcie to istnieje, czyli gdzie niema oddzielenia Kościoła od państwa, kler istotnie rządzi swoimi wiernymi, a na „niewiernych" ma do swego rozporządzenia prawodawstwo, sądy i więzienie.

W stosunku do autorytetu narzucającego przekonania religijne jesteśmy nietolerancyjni, gdyż na gwałt i ucisk moralny można jedynie reagować walką. Tak więc tolerujemy przekonania, lecz nie tolerujemy narzucania tych przekonań.

Lecz to jeszcze kwestji tolerancji nie wyjaśnia i nie wyczerpuje. Zewsząd i bezustannie zarzucają wolnomyślicielom rzekomą nieszczerość ich stanowiska. Zarzut ten brzmi mniej więcej tak: głoszą oni nieograniczoną wolność sumienia i myśli, sami zaś przystępują do ludzi wierzących z propagandą obrażającą uczucia religijne. Na zarzut powyższy należy całkiem szczerze odpowiedzieć: przeciwstawiając naukę przesądom, a raczej szerząc zdobycze nauki, która się sama tym przesądom przeciwstawia, wolnomyśliciele stają wobec konieczności dotknięcia uczuć ludzi wierzących.

To nie wolnomyśliciele, lecz nauka, że się tak wyrażę, obraża uczucia przesądnych ludzi. Jest to nieunikniony konflikt światła z ciemnotą, a jedynym sposobem możliwie bezbolesnego wyzwalania umysłów jest szlachetna, tolerancyjna metoda pracy oświatowej. Oto wykładamy umysłom nieoświeconym zdobycze nauk przyrodniczych, wykładamy historję świata według dotychczasowych wiadomości naukowych; zdobycze te wykluczają legendy o stworzeniu świata, o raju, o Adamie i Ewie i t. p. Wierzący w te dogmaty człowiek czuje się tu dotknięty w swych religijnych uczuciach. Czy ten wzgląd może nas powstrzymać od popularyzacji wiedzy wśród wierzących mas ludu? Ktoby na to pytanie odpowiedział twierdząco, tego mamy prawo nazwać wrogiem oświaty ludowej.

Wolna myśl nie jest nietolerancyjna, szerząc zdobycze wiedzy, przeczące wierzeniom religijnym, ponieważ podając te zdobycze, nie zmusza do ich przyjęcia. Decyduje tu samo sumienie i sam rozum oświeconych. Skoro zaś decyzję, przyjęcie lub nieprzyjęcie głoszonych przez nas poglądów pozostawiamy sumieniu i rozumowi każdej jednostki, — jesteśmy w zgodzie z zasadą tolerancji.

Tak pojmować winniśmy tolerancję religijną a działalność nasza zgodzić się musi z powyższymi zasadami.

Dla wytworzenia światopoglądu, opartego na wiedzy, dla wzniesienia szerokich warstw społeczeństwa a przedewszystkiem mas ludowych na wyższy stopień społecznej świadomości, dla wyzwolenia umysłów z pod brzemienia przesądów — propaganda wolnej myśli objąć powinna niemal wszystkie dziedziny zbiorowych uczuć i myśli. Jest to praca ogromna i znacznie trudniejsza, niż się to wielu pośród wolnomyślicieli wydaje; praca na szeregi lat. Tymbardziej w społeczeństwach klerykalnych, zacofanych, takich, jak nasze.

Wykłady, odczyty, pogadanki i wydawnictwa, jak już powiedziałem, odbywać się winny planowo i metodycznie, by móc dać słuchaczom i czytelnikom całokształt zasad wolnomyślności.

Wydaje mi się, iż z pośród różnych dziedzin wiedzy i życia społecznego następujące zagadnienia należy wysunąć w propagandzie wolnej myśli na plan pierwszy:

I. *Historja religji.* 1) Powstanie i rozwój pojęć religijnych pośród różnych narodów. Różnice i podobieństwo tych pojęć. Zależność wierzeń religijnych od form społecznego i obyczajowego życia, jako też od stopnia umysłowego rozwoju danego narodu. 2) Powstanie i rozwój świątyń wyznaniowych. 3) Dzieje stosunku religji do nauki.

II. *Nauki przyrodnicze:* 1) Podstawowe zdobycze nauk przyrodniczych a wierzenia religijne. 2) Światopogląd oparty na wiedzy przyrodniczej. 3) Współczesny monizm.

III. *Pedagogika:* Kwestja szkolna. Wolne szkolnictwo. Nauka moralności w szkole. Świeckie wychowanie.

IV. *Zagadnienia polityczne:* 1) Dzieje stosunku Kościoła do Państwa. 2) Oddzielenie Kościoła od Państwa i wynikające stąd konsekwencje.

V. *Nauki prawne:* 1) Religijny pierwiastek w prawodawstwie. 2) Zasady świeckiego prawodawstwa.

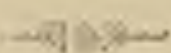
VI. *Zagadnienia społeczne:* Moralność religijna a moralność społeczna. Zasady tolerancji religijnej.

VII. *Zagadnienia ekonomiczne:* 1) Ekonomiczne czynniki religijności społeczeństwa. 2) Współzależność zjawisk psychicznych i materjalnych. Ucisk materjalny a ucisk moralny. Wyzwolenie ekonomiczne i wyzwolenie umysłowe ludzkości.

VIII. *Sztuka i literatura*, jako pokarm duchowy społeczeństwa i zadowolenie estetycznych potrzeb człowieka.

Oto są podstawowe kwestje i zagadnienia, których wszechstronne oświetlanie stanowi propagandystyczną działalność wolnomyślicieli. Nie wyczerpują one bynajmniej pola tej działalności, są jedynie jej częścią najważniejszą. To już daje nam obraz ogromu pracy, jaką wolnomyśliciele mają do wykonania i jaką wykonać muszą, jeśli pragną zbliżyć społeczeństwo do ideałów myśli wolnej.

Józef Wasercug.



Konstytucja w Indjach i w Egipcie.



Nacjonaliści egipscy i rząd angielski.

Zwycięstwo prądu konstytucyjnego w Turcji i pewność trwałości nowego porządku w tym kraju, przychylne stanowisko rządu austryjackiego wobec dążeń autonomicznych Bośni i Hercegowiny stawiają Anglię w bardzo trudnem położeniu wobec dwóch zależnych od niej krajów o licznej mahometańskiej ludności — t. j. wobec Indji i Egiptu, które dawno już wzdychają do liberalnego przedstawicielskiego ustroju.

Co do Indji, to rząd angielski, ostrzeżony przez ostatnie wrzenia i niepokoje, postanowił przez stopniowy system drobnych reform, gorąco popieranych przez obecnego sekretarza Jana Morleja, przetworzyć

---

chwilę wzrok na książkach. Chciałem skłonić Wilde'a do poważniejszej rozmowy.

Usiadłem znów na poprzedniem miejscu i z odrobiną obawy zapytałem, czy czytał „wspomnienia z domu zmarłych".

Wilde nie odpowiedział mi wprost na pytanie, lecz rzekł:

„Nadzwyczajni są ci pisarze rosyjscy. Dzieła ich są tak wielkie przez litość, która się w nich mieści. Poprzednio widzi pan bardzo lubiłem „panią Bovary". Flaubert jednak nie pisał tej książki z litości,—i dlatego dzieło jego jest małe i zasklepione; przez litość dzieło staje się otwartem (?) przez litość sięga ono w nieskończoność... Czy wiesz, dear, że litość powstrzymała mnie od samobójstwa? O! w ciągu pierwszych sześciu miesięcy byłem strasznie nieszczęśliwy; tak nieszczęśliwy, że chciałem się zabić; wstrzymało mnie jedynie przypatrywanie się innym; spostrzegłem, że byli równie nieszczęśliwi i litowałem się. O dear! co to za cudna rzecz litość, a ja nie znałem jej wcale! (Mówił to prawie szeptem bez żadnej przesady). Czy dobrze zrozumiałeś jaką wspaniałą rzeczą jest litość? Co wieczór dziękuję Bogu, tak, na klęczkach dziękuję Bogu co wieczór, że dozwolił mi zrozumieć litość. Wchodziłem do więzienia z sercem z kamienia, myśląc jedynie o swych rozkoszach. Obecnie serce me złamało się i zmiękło. Litość zamieszkała w niem. Zrozumiałem, że litość jest najwspanialszem, najcudniejszem zjawiskiem na świecie... I dlatego to nie mogę żywić urazy ani do tych, którzy mnie skazali, ani do kogokolwiekbądź, gdyż inaczej nie byłbym poznał tego wszystkiego. X... pisze do mnie straszne listy; mówi, że nie rozumie mnie zupełnie, że nie rozumie jak mogę nie mieć urazy do wszystkich, że wszyscy ohydnie ze mną postąpili... Nie rozumie mnie, nie może już mnie zrozumieć. A jednak powtarzam mu w każdym liście, że nie możemy już iść tą samą drogą; przed nim leży jego droga—bardzo piękna; przedemną moja. Jego droga to droga Alcybiadesa — moja obecnie to droga św. Franciszka z Assyżu... Czy pan zna św. Franciszka z Assyżu? wspaniały, wspaniały! Chce pan sprawić mi prawdziwą, wielką rozkosz? Niech pan przyśle mi najlepszy żywot św. Franciszka, jaki pan zna".

Obiecałem mu to, poczem Wilde znów rozpoczął:

„Tak, tak — drugi z kolei naczelnik naszego więzienia był nadzwyczajnie miły! podczas pierwszych miesięcy jednak byłem niezmiernie nieszczęśliwy. Pierwszy naczelnik więzienia był człowiekiem z gruntu złym. Żyd, strasznie okrutny, wskutek zupełnego braku wyobraźni". Ostatnie zdanie, wypowiedziane nadzwyczaj szybko wyszło tak komicznie, że nie mogłem powstrzymać się od wybuchu śmiechu; Wilde począł śmiać się również, powtórzył zdanie wypowiedziane i tłumaczył dalej:

„Nie wiedział sam co wynaleźć, aby nam dokuczyć... I zobaczy pan sam, jak mu zbywało na wyobraźni... Muszę pana objaśnić, że w więzieniu wolno przechadzać się tylko godzinę dziennie; chodzi się w kółko po podwórzu jedni za drugimi; bezwzględnie nie wolno rozmawiać. Pilnują dozorcy, a jeśli kogo złapią na rozmowie, naznaczają straszne kary. Tych, którzy pierwszy raz są w więzieniu, można odróżnić, gdyż nie umieją mówić, nie poruszając wargami... Byłem już od sześciu tygodni pod kluczem, a nie przemówiłem jeszcze do nikogo ani słowa — ani słowa do nikogo. Pewnego wieczora szliśmy tak gęsiego podczas godzinnej przechadzki, gdy nagle usłyszałem me imię, wymówione za sobą: więzień, który szedł za mną, mówił: „Oskarze Wilde, żal mi cię bardzo, gdyż musisz cierpieć bez porównania więcej niż każdy z nas". Wówczas zrobiłem straszny wysiłek, aby nie zwrócić na siebie uwagi (byłem bliski omdlenia) i odpowiedziałem nie odwracając się: „nie, przyjacielu, cierpimy wszyscy jednakowo". I od tego dnia straciłem pociąg do samobójstwa.

(d. n.)

z czasem obecną Radę anglo-indyjską, rezydującą w Kalkucie w Zgromadzenie prawodawcze, w którem ludność krajowa miałaby liczne proporcjonalne przedstawicielstwo.

Inaczej rzecz się ma w Egipcie.

Kraj ten w ciągu dwudziestopięcioletnich rządów Anglji gruntownie przeobrażony przynajmniej pod ekonomicznym względem, dziś jeszcze w politycznych i parlamentarnych kołach Londynu uchodzi za niedość przygotowany do samodzielnego kierowania swymi losami.

Lord Cromer — niezaprzeczenie jeden z najznakomitszych współczesnych prokonsulów angielskich, znakomity administrator, któremu Egipt zawdzięcza swe dzisiejsze odrodzenie ekonomiczne, oświadczył w jednym ze swych ostatnich przemówień, odpowiadając wprost na żądanie egipskich narodowców, postawione w ich tymczasowym programie, — iż conajmniej muszą przejść trzy pokolenia, zanim Egipt dojdzie do tego stopnia moralnej, społecznej i politycznej kultury, by mógł otrzymać rządy reprezentacyjne.

Naturalnie nacjonaliści egipscy są wręcz odmiennego zdania. Twierdzą oni, iż od niepamiętnych czasów posiadał Egipt instytucje przedstawicielskie i umiał się nimi posługiwać, a dopiero gdy Anglja opanowała kraj, skasowała je pod pozorom, że należało korupcję wyrwać z korzeniem. Agitatorowie narodowi utrzymują również, że w ciągu ćwierci wieku dokonał się w Egipcie ogromny postęp moralny i umysłowy, niema więc żadnej racji odmawiać krajowi upragnionych swobód tembardziej, że klasy rządzące jednomyślnie sprzyjają tam radykalnej zmianie systemu rządów.

Wymieniają nacjonaliści między wysokimi dostojnikami zwolenników reform parlamentarnych w pierwszym rzędzie samego Khedywa, o którym zresztą wiadomo, że zawsze użyczał legalnego i nielegalnego poparcia propagandzie nacjonalistycznej.

Oczywiście Kedyw niechętnie poddający się zwierzchnictwu Anglji, sądzi, iż instytucje przedstawicielskie przydałyby się przedewszystkiem na to, by wyzwolić kraj stopniowo od przewagi angielskiej.

Już od chwili ogłoszenia konstytucji w Persji, nacjonalizm egipski, który zdołał w ciągu ostatnich lat rządów lorda Cromera opanować cały kraj, wciskając się nawet do najodleglejszych wiosek, podniecony jest do stopnia gorączkowego wrzenia. Wszystkie mahometańskie kraje zostały silnie poruszone tym faktem, a Egipt silniej niż inne. Prasa, korzystająca pod rządami angielskiemi z zupełnej swobody, odrazu zaczęła wśród mas ludności szerzyć przekonanie, że instytucje parlamentarne najzupełniej są odpowiednie dla mahometańskich ludów i niema w Koranie ani słowa, na któreby się można powołać dla potępienia ich z punktu widzenia religijnego.

Owczesna gwałtowna propaganda przysporzyła niejednego kłopotu administracji angielskiej wywołując między Arabami a Europejczykami zajścia, zdradzające wyraźnie nastrój duchowy krajowej ludności. Zwycięstwa reakcji w Persji na pozór uśmierzyły to wzburzenie, gdy oto nowe wypadki tureckie zdumiały cały świat i wywołały w Egipcie ogromną radość.

We wszystkich większych miastach kraju odbyły się olbrzymie manifestacje pod pozorem uczczenia tego lub owego z „Młodych Turków" powracających do Konstantynopola na skutek amnestji, w gruncie rzeczy jednak dla okazania Anglji i Europie, że i w Egipcie istnieje stronnictwo konstytucyjne, z którym prędzej czy później poważnie liczyć się będzie trzeba.

Politycy angielscy w tym względzie opancerzyli się pewnym rodzajem *non possumus* głównie pod wpływem lorda Cromera, stanowczego przeciwnika wszelkich dalej idących ustępstw dla Egiptu. Opór ten jednak nie długo może trwać w narodzie przywykłym do popierania wszelkich dążeń wolnościowych bądź to przez sentymentalizm bądź też przez dobrze pojęty interes własny.

Jeżeli możliwą jest próba parlamentaryzmu w Turcji, której stosunki polityczne, narodowościowe i ekonomiczne są o tyle bardziej powikłane, niema żadnej możliwej racji uchylania się od niej na wybrzeżach Nilu tym więcej, że komisarze angielscy — istotni władcy kraju mogą stale wykonywać kontrolę nad prawodawstwem.

Jest więc rzeczą całkiem niezrozumiałą, że zarówno w prasie jak w parlamencie angielskim większość oświadcza się przeciw żądaniom Egipcjan.

Anglja, która już udzieliła szerokiej autonomji swym kolonjom amerykańskim, południowo-afrykańskim i australijskim, a zapowiada analogiczne reformy w Indjach będzie musiała wkrótce uznać słuszność tych żądań, gdyż inaczej narażiłaby się na poważne niebezpieczeństwa a może nawet na utratę swej przewagi w Egipcie. Jest ona zbyt przezorną i rozsądną, by posuwać opór tak daleko.

W tych dniach dzienniki podały do wiadomości wywiad pewnego dziennikarza giewskiego u Mohameda Ferid beja, który stał się obecnie głową nacjonalistycznego ruchu w Egipcie. Wywiad dotyczył programu „Młodego Egiptu" blisko spokrewnionego ze stronnictwem tryumfującym obecnie w Turcji — Mohamed Ferid bej odbył właśnie wycieczkę po Szwajcarji dla porozumienia się z przebywającymi tamże Egipcjanami, a podobno i dla zapewnienia sobie poparcia Młodych Turków tamże zamieszkałych. Na czele programu postawiono żądanie wycofania wojsk angielskich z Egiptu i utworzenie autonomicznego państwa, jakie istniało do r. 1882 lecz z ustrojem konstytucyjnym, dającego wystarczające gwarancje europejskim wierzycielom z utrzymaniem kontroli — nie angielskiej lecz międzynarodowej. Przeciwwagą władzy Khedywa byłby parlament obierany jak Rada Prawodawcza przez powszechne głosowanie i posiadający istotną władzę ustawodawczą.

Co się tyczy stosunku lennego do tureckiego sułtana patryjoci egipscy pragną go utrzymać w formie rocznego haraczu i uznania duchownej władzy Kalifa.

Poza tym w sprawach wewnętrznych zupełna autonomja, zważywszy, że haracz nie posiada żadnego politycznego znaczenia. Co do reform społecznych program żąda powszechnego nauczania i przymusu szkolnego licząc, że on doprowadzi do szybkiego umysłowego i moralnego postępu. Reformy sądownictwa mają polegać na utworzeniu trybunałów mieszanych, które sądziłyby nietylko jak dziś—sprawy między krajowcami i Europejczykami, lecz między Europejczykami różnych narodowości oraz wszelkie sprawy kryminalne i dotyczące porządku publicznego. Trybunały 16-tu narodowości nadal rozstrzygałyby spory między członkami narodów, które reprezentują, gdy sądy krajowe rozstrzygałyby sprawy cywilne między Egipcjanami.

Podobnych reform domagają się również patryjoci tureccy zmierzający do wyzwolenia otomańskiego państwa z podległości obcym, do równouprawnienia różnych grup etnicznych jego ludności a zarazem zapewnienia cudzoziemcom słusznego wymiaru sprawiedliwości.

Mohamed Ferid bej nie pozostawia najmniejszej wątpliwości, że 700 tysięcy egipskich chrześcijan (licząc w to 600 tys. Koptów) mogliby korzystać pod autonomicznymi rządami ze wszelkich swobód i całkowitego bezpieczeństwa i wszelkich praw — prócz prawa dostępu do urzędów publicznych, rezerwowanego dla Fellahów. Powszechne głosowanie, którego się „Młody Egipt" domaga, pozwoliłoby wszystkim cudzoziemcom, rozporządzającym dość wielką liczbą głosów, posiadać własną reprezentację w parlamencie, przyczem Mohamed chciałby się wzorować na ustroju parlamentarnym Austrji.

A. Skotrużewski.

NA DOBIE.

Komunikat komitetu jubileuszu Al. Świętochowskiego.

Sz. Zarządowi Kasy literackiej składamy najuprzejmiejsze podziękowanie za udzieloną nam gościnność w Ich lokalu i jednocześnie zawiadamiamy wszystkich, którzy interesują się sprawą obchodu jubileuszu Al. Świętochowskiego, że od dnia 1 września przenosimy czynności nasze do lokalu własnego przy ulicy Zgoda Nr. 8 m 9. Biuro sekretarjatu otwarte od godz. 10—1 w połud. codziennie i od 4—6 po poł. w dnie powszednie, udziela informacji ustnych i listownych.

Przyjmuje zapisy na:

a) uczestników w zjeździe po rb. 1 kop. 50 od osoby.

b) bilety wejścia na posiedzenia sekcyjne po k. 25.

c) bilety na przedstawienia (podczas zjazdu) teatralne, po cenach zwykłych, do Teatru Wielkiego po cenach operowych zniżonych.

Osoby mieszkające na prowincji, mogą dać zlecenie sekretarjatowi listownie, a po przybyciu do Warszawy bilety zamówione wykupić.

Bliższe szczegóły dotyczące tematu układu pory i miejsca obrad zjazdu, oraz nazwiska referentów podamy do wiadomości publicznej w końcu września. Tymczasem komunikujemy program w głównych jego zarysach.

W sobotę 10 października, wieczorem zebranie powitalne dla uczestników zjazdu.

W niedzielę 11 października od 2 — 6 po poł. posiedzenie sekcji literackiej; wieczorem przedstawienie „Ojca Makarego" w teatrze Małym.

W poniedziałek 12 października od 2—6 po poł. posiedzenie sekcji społecznej; wieczorem przedstawienie „Aspazji„ Teatr Wielki.

We wtorek 13 października Wielkie Zebranie organizacyjne Towarzystwa Imienia Al. Świętochowskiego, dla krzewienia wiedzy i praktyki rolniczej wśród ludu. Dyskusja nad projektem szkoły rolniczej niższej imienia Al. Świętochowskiego, i nad sprawą najpilniejszych potrzeb oświaty ludu.

Czas trwania każdego referatu nie dłużej nad 20 min.

Sz. referentów prosimy o możliwe rychłe nadsyłanie nam skrótów, odczytów i przemówień.

Sekretarjat komitetu jubileuszu Al. Świętochowskiego, Warszawa, Zgoda 8 m. 9, telefon 73-88.

Dzielimy się z naszymi czytelnikami nader przyjemną wiadomością: Jeden z najwybitniejszych członków naszego stronnictwa— b. poseł do pierwszej Dumy Aleksander Lednicki—po trzymiesięcznym zamknięciu w moskiewskim więzieniu—został wypuszczony na wolność.

Roman Szymański i ruch ludowy.

Kartka z dziejów Poznańskiego.

(Dokończenie).

W epoce flirtów Koła polskiego z dworem berlińskim, tak zwanej epoce ugody—ruch ludowy odegrał rolę poważnej, uzasadnionej, sympatycznej opozycji. *Orędownik* stał się istnym biczem bożym dla „polityki dworskiej" bardzo słusznie tak nazwanej, gdyż opierała ona całkowicie losy narodu, na osobistych stosuneczkach z wysoko postawionemi osobami. W zwalczaniu kierunku „admiralskiego", w piętnowaniu uchybiających godności narodowej polowań na ordery i tytuły, podali sobie ręce dwaj, dotąd nieprzejednani antagoniści: *Goniec wielkopolski* i *Orędownik*; zbliżyły się, a na pewien czas i zlały dwa odłamy małomieszczańskiej demokracji, grupujące się przy tych dwóch pismach. Stronnictwo Szymańskiego—przyznać to trzeba — posiadało zresztą pewniejszy grunt pod nogami niż stronnictwo „Gońcowe" osłabione po śmierci Niegolewskiego i Rzepeckiego, swych twórców i kierowników. Zanim ruch ludowy dał odczuć swój wpływ w akcji politycznej, ogarnął on liczne organizacje kulturalne i zawodowe, towarzystwa młodych przemysłowców i młodych kupców z trudem zdobywając jedne placówkę po drugiej. W latach 90-tych walka między stronnictwami była najzawziętsza. Partja dworska liczyła w swych szeregach niemal całe Koło polskie z Józefem Kościelskim na czele i prawie całe duchowieństwo uległe arcybiskupowi Stablewskiemu, który Kościelskiemu godność „prymasowską" zawdzięczał. Nagły zwrot polityki rządowej w 1894 roku, upadek Capriviego, niełaska Kościelskiego, powstanie związku hakatystów — otworzyły ruchowi ludowemu pole do zwycięstw. Gdy Kościelski pod naciskiem opinji publicznej złożył mandat inowrocławski — objął go po nim poseł ludowiec, zresztą jednostka bez znaczenia, lecz w każdym razie głos opozycyjny dodany do dwóch dawniejszych, (Głębocki i Czarliński) którzy stale a beskutecznie hamować usiłowali orgie serwilizmu w polskiej reprezentacji. Zdawać się mogło na razie, że zwycięstwo względnie demokratycznego prądu jest już rzeczą dokonaną, gdy po śmierci Dobrowolskiego redakcją *Dziennika Poznańskiego* (najpoczytniejszej gazety w Poznańskiem), objął Głębocki, a mandat poznański — po nazbyt skompromitowanym w dworszczyźnie, Cegielskim, Bernard Chrzanowski. Ani jeden ani drugi nie był wprawdzie bezwzględnym wyznawcą kierunku Szymańskiego, obaj jednak byli z nim w stosunkach przyjaznych i poparciu ludowców zawdzięczali swe mandaty.

Zagrożona partja dworska zmieniwszy firmę na „narodową" sprawiła szyki na nowo. W *Dzienniku Poznańskim* przeważyły wpływy Kościelskiego, redaktorem został lichy karjerowicz d-r Łebiński i walka zawrzała zaciętsza niż kiedykolwiek, że zaś ze strony ugodowej kliki rej wodzili księża, a arcybiskup Stablewski zbyt już jawnie z kardynałem Koppem jedną śpiewali melodja—Szymański serjo i bez ogródek propagować zaczął hasło: „Księża do kościoła"!

Ukazywać się poczęły w *Orędowniku* coraz śmielsze artykuły wyjaśniające ludowi, jak dalece niebezpiecznym dla sprawy narodowej stać się może polityczne przewodnictwo duchowieństwa, jak niezbędne ścisłe rozdzielenie spraw świeckich, doczesnych—od religijnych i pozagrobowych stanowiących jedyne bezsporne pole działalności i władzy kleru. Na wiecach wyborczych dochodziło niemal do skandalów. Proboszcze przezeń przyzwyczajeni do dyskrecjonalnej władzy i bezapelacyjnego „związywania" i „rozwiązywania" na ziemi i w niebie, posuwali się do *rozwiązywania* zgromadzeń, gdy na nich odczuli opozycyjny dla siebie nastrój, a uczestnicy rozjątrzeni ich samowolą wznosili okrzyki „precz z księżmi!" — „księża do kościoła!". Słowa te wychodziły z ust najgorliwszych katolików, wierzących we wszystko co nietylko Kościół lecz poznańska Księgarnia katolicka do wierzenia podaje, nieprzejednanych antysemitów nie mogących Żydom darować ani konkurencji w handlu, ani ukrzyżowania Chrystusa i brzydzących się bezbożnymi socjalistami jak samym djabłem. Każdorazowa przedwyborcza kampanja do sejmu czy do parlamentu dawała sposobność do ostrych walk, które zresztą ustawały w dzień wyborów, przy urnach bowiem wszyscy już karnie na jednego głosowali kandydata. Dwie takie kampanje w 1903 roku, popierany silnie przez ludowców Głębocki, przypłacił nagłą śmiercią po osiągnięciu podwójnego mandatu do sejmu i parlamentu. Przedmiotem sporu był już nietylko czysto polityczny interes (walka z ugodą) lecz ekonomiczne antagonizmy, mianowicie walka z agrarjuszowską polityką celną Koła polskiego.

Stopniowe zwycięstwa wyborcze nowego prądu nie pchnęły jeszcze polityki Kół berlińskich na nowe tory, może nawet tych „nowych" torów dotąd nie odkryto. Emancypacja spraw świeckich z pod władzy kleru okazała się po prostu niemożliwą wobec braku jednostek, któreby mogły objąć kierownicze stanowiska (sami ludowcy wybierali nieraz zwalczanych duchownych kandydatów z warunkiem, że się poprawią). Wreszcie ruch ludowy, gdy wykazał swą siłę, strząsnął ze siebie dawne „odium", posiada obecnie własnych księży, obywateli, ba! nawet własnych „czerwonych" hrabiów. U schyłku życia Szymański objął redakcję *Kurjera Poznańskiego*—niegdyś organu duchowieństwa, swego głównego przeciwnika, dziś nieznacznie odmłodzonego w kierunku demokratycznym. Poświęcił mu już jednak tylko resztkę sił steranych w politycznej walce.

Na razie rezultaty tej walki—choć pozornie zwycięskiej — wydają się nikłe, żadne. Trochę inni ludzie lecz niemal ten sam kierunek czy brak kierunku. Może jednak siły zużyte na nią nie zostały zupełnie roztrwonione. Może pozostanie po niej choć szereg doświadczeń, choć szkoła życia publicznego, choć wzór opozycji, która nie uległa ani pod gradem oszczerstw, ani pod zawziętym ekonomicznym bojkotem i doczekała się jednak zwycięstwa, z którym nie wie nawet co zrobić.

Dla nowych zadań zjawić się muszą nowi ludzie, a ci wyłowią zapewne ze spuścizny po zmarłych jakieś twórcze pierwiastki i przystąpią z nimi do nowej budowy—wywalczając dla niej prawo istnienia.

Szymańskiego zasługą pozostanie to, że przez swój krytycyzm, odwagę, przez swe opozycyjne stanowisko chronił społeczeństwo od zupełnego letargu i martwoty, że ci co usypiając je hasłem zgody i jednomyślności w jego imieniu mówili i działali, czuli jednakże, iż jest ktoś, kto ich przed sąd opinji pozywać, do odpowiedzialności moralnej pociągać będzie. Zasługą jego pozostanie więc niemal wyłącznie to, co dziś w jego życiu dyskretnie przemilczają lub wspaniałomyślnie wybaczają jego przeciwnicy, a winą to tylko, co mu za okoliczność łagodzącą poczytują: mianowicie, że się tak niewiele od nich różnił.

I. Moszczeńska.



Przez pryzmat Prawdy.

Jesteśmy w przededniu otwarcia sezonu jesienno-zimowego zarówno w dziedzinie życia towarzyskiego i artystycznego, jak i społeczno - politycznego. Ponieważ przygotowania do tej kampanji są w całej pełni, nie od rzeczy więc będzie podzielić się z czytelnikami refleksjami, jakie nasuwają mi się w każdej poszczególnej sprawie.

Życie tak zwane towarzyskie otwierają zwykle wyścigi konne. Nie będę długo zatrzymywał nad nimi uwagi czytelników, wszyscy bowiem mamy wyrobione zdanie o tej instytucji, która przez pryzmat zysków na totalizatorze szerzy w słabej moralnie części społeczeństwa prostytucję równie dobrze, jak każdy inny zakład publiczny. Wystarczy raz jeden być na polu Mokotowskim i bacznie obserwować ten różnobarwny i ruchliwy tłum zmieszany w jedno i złożony z laskonogich arystokratów, ich żon, utrzymanek, wolnopraktykującego półświatka, płaków niebieskich i bezimiennych graczy wszelkich kondycji towarzyskich i hierarchji społecznych, aby spostrzec gorączkowe wypieki na twarzach, namiętne błyski w oczach, posłyszeć histeryczne zachwyty nad klaczami, ogierami i dżokejami, nerwowe chwytanie biletów z okienek totalizatora lub łapczywe zgarnianie pieniędzy z kas płatniczych i tym samym ugruntować w sobie przekonanie, że prostytucja ta jest gorszą od właściwej, wzbudza bowiem nigdy niezaspokojone chuci pożądania zysków, zmienia czworonożnych kochanków częściej niż chustki do nosa i osobnik, który się temu zgubnemu nałogowi oddaje, szybko popada w stan zaniku moralnego.

Tę szczytną rolę podstępnego zbydlęcania społeczeństwa przyjęło na siebie Towarzystwo Wyścigów Konnych, które obłudnie twierdzi, że tą drogą poprawia rasę koni i podnosi hodowlę krajową, widocznie jednak uważa, że herostratowej misji nie uczyniło jeszcze w pełni zadość, bowiem w celu podniesienia hodowli durniów krajowych wyłoniło ze siebie drugą pasorzytniczą instytucję „Warszawskie Koło Sportowe". Póki koło to zabawiało się między sobą, w zamkniętym miejscu, na terenie właściwym dla siebie—w maneżu, w towarzystwie koni, póki zabawa nie przekraczała dziecinnie naiwnych zbytków, póki ograniczała się ona na karuzelach lub na tym, że hrabina Oczko z baronem Koko skakała konno przez linę lub popisywała się szkołą wyższej jazdy tyłem, trzymając konia za ogon, póki ta biedota umysłowa uczyła się tańczyć konno kadryla lub kontredansa, poty, w myśl zasady „wolnoć Tomku w swoim domku", nic nie miałem przeciw temu dobrowolnemu błaznowaniu, z chwilą jednak gdy tym mikrocefalom zaczęła pierś rozsadzać żądza wypłynięcia na szersze horyzonty i zainaugurowano u schyłku zeszłego sezonu sporty strzelania do gołębi, w obawie, aby coś podobnego nie powtórzyło się w tym sezonie, muszę przeciw tej nowej barbarji jak najenergiczniej zaprotestować. Nie mam bynajmniej zamiaru przemawiać do inicjatorów tej dzikiej zabawy w imię zasad etycznych, te bowiem aż nadto jasne i proste dla niezwyrodniałych umysłowo, są dla nich zgoła niezrozumiałe, mam jednak prawo żądać, aby do swych jatek nie sprzedawali biletów tej części publiczności, która ma więcej pieniędzy, niż rozumu, która jednak nie zaszła tak daleko w upadku moralnym, jak promotorowie tych zabaw.

Na zakończenie chcąc zaznaczyć, że nie stoję na stanowisku bezwzględnego wroga, lecz przeciwnie lituję się nad ich ułomnością moralną i liczę się z nią, naginając się

do tej specyficznej psychologji i widząc, że starają się naśladować błaznów cyrkowych, dam im dobrą radę, niech, wzorując się na starszych kolegach—klownach zawodowych, dadzą publiczny spektakl wzajemnego bicia się po twarzy, będzie to i dość zabawne, jak dla publiczki, która z nimi trzyma, i pożyteczne dla nich samych, może niejeden z nich pod wpływem otrzymanego bratnią dłonią policzka, rumieńcem wstydu się obleje i przekona się wtedy, że jeszcze człowieczeństwa swego zupełnie nie zatracił.

Czyście mili czytelnicy nie zauważyli w życiu publicznym jednego szczegółu charakterystycznego: Gdy urządzana jest wystawa koni, psów, kotów, bydła rogatego lub nierogacizny zawsze inicjatywę dają utytułowani arystokraci, gdy zaś idzie o wystawę przemysłu ludowego, rolniczą, hygjeniczną i t. p. na czele stają przedstawiciele inteligiencji? Czym to objaśnić? Czyżby przyrodniczym prawem powinowactwa?

Sector.

Echa Prawdy.



Do robót ziemnych przy regulacji Rudawy pod Krakowem zwerbowano robotników, ale przedsiębiorca zbyt mało chciał im płacić, albo zbyt dużo chciał na nich zarobić — i robotnicy, nie przystawszy na proponowane warunki, pracy nieprzyjęli. Do zakłopotanego przedsiębiorcy przyszli uczniowie szkół galicyjskich i stanęli do robót ziemnych w charakterze zwykłych robotników, tylko za jeszcze niższą cenę.

Czas krakowski i *Kurjer Warszawski* poświęciły eksploatowanym uczniom entuzjastyczne artykuły! Czem się tu zachwycać! Uczniowie nie mieli prawa przyjmować robót, których nie mogli przyjąć robotnicy fachowi i nie powinni spędzać wakacji przy ciężkich robotach ziemnych, kiedy wakacje mają inne przeznaczenie, a *Czas* i *Kurjer* nie powinny tej poważnej strony sprawy pokrywać milczeniem. Wreszcie zwierzchność szkolna i opiekunowie popełnili karygodny błąd, pozwalając uczniom na wytwarzanie konkurencji robotnikom, chociażby to byli ich ojcowie, i tym sposobem zaszczepiając w młodocianych umysłach nieposzanowanie wartości pracy i serwilizm względem wyzyskującego kapitału.

* * *

Na scenie teatru „Nowości" produkuje się francuskie „Książątko" — *pardon*, *Le petit duc*, który popisuje się swym głosem w języku oczywiście francuskim.

Zupełnie jak w operetce. Komicznym więc jest „Książątko" po francusku odpowiadające na polskie pytania. Chwilami tylko *le petit duc* posuwa swą grzeczność tak dalece, że pojedyncze wyrazy wymawia po polsku z cudzoziemskim akcentem. Publiczność wybucha śmiechem nie dla treści słów, bynajmniej nie komicznych, ale dla wesołego, jeżeli mi go nazwać tak wolno, akcentu. Nie wiem, czy *le petit duc* jest z tego zadowolony, ale publiczność w większości nie rozumiejąca najciekawszych djalogów i arji, bawi się śmieszną wymową. — Komicznej operetce stało się więc zadość — a sztuce?...

A śpiewacy polscy?... Z nich żaden nie poważyłby się śpiewać po polsku nad Sekwaną, a tu muszą być grzeczni i muszą wykonywać trudniejszą grę z cudzoziemką w myśl przysłowia: co wolno książęciu i t d.

Reżyserja teatralna, zda się, przysłowie to chce stosować nietylko do aktorów, ale i do... publiczności.

Wśród mieszkańców Warszawy, chodzących pieszo (i jeżdżących powozami), a tym samym narażonych na śmiertelne przejechanie lub conajmniej wieczne kalectwo przez tramwaje elektryczne, powinien zapanować zupełny spokój. Prześwietny bowiem zarząd tramwajów przyszedłszy do znakomitego wniosku, że wszelkim nieszczęśliwym wypadkom winna była fatalna trzynastka — zniósł ją. Linja „Mokotów—Muranów" zamiast trzynastej nosi numerację czternastej.

Niech żyje postęp! Nic potrzeba już siatek ochronnych ani bezpieczników, gdy główną zła usunięto przyczynę.

Żądełko.

NAUKA I WYCHOWANIE.

Szkoła i dzieci w Szwajcarji.

Dzieci i kwiaty w Szwajcarji posiadają wdzięk szczególny, jakgdyby chciały się odpłacić za to, że je kochają i pielęgnują z niezwykłą pieczołowitością. Nieraz patrząc na te urocze istotki, zapytywałam siebie, czy to możliwe, by zamieniły się one z czasem w tych mężczyzn pospolitych, w te kobiety, pozbawione wdzięku, które się wciąż spotyka dokoła?

Dziecko posiada tu niezwykłe połączenie wdzięku czysto dziecięcego, który czyni zeń coś podobnego do kwiatu lub ptaka, oraz pewną rozwagę, śmiałość i energję, co sprawia, że jest już ono zarazem małym człowiekiem. Roślina ludzka, przez umiejętną i troskliwą hodowlę, doprowadzoną jest tutaj do wyższego stanu kultury, zwłaszcza w tych sferach, które u nas rażą największym zaniedbaniem. Wychowanie szkolne zrównało tu rzeczywiście wszystkie stany, nadając dziecku robotnika kulturę wewnętrzną, jakiej u nas nie posiadają zazwyczaj nawet dzieci pozornie najtroskliwiej chowane.

Przytym dziecko czuje to dobrze, że jest kochanym, że nikt mu tu żadnej krzywdy nie uczyni i dlatego uśmiecha się do całego świata, patrzy śmiało i z zaufaniem na obcego człowieka i nie boi się niczego. Dziecko bowiem w Szwajcarji jest przedmiotem ciągłej pieczołowitości ze strony państwa i społeczeństwa. W Lozannie naprzykład są pewne ulice, zamknięte dla ruchu kołowego, ze względu na dzieci, których niezliczone gromady bawią się na nich. W tejże Lozannie, skoro nastają uroczystości z powodu zakończenia roku szkolnego, głównie obchodzone zapomocą pochodów dzieci, ruch dorożek i tramwajów bywa wstrzymany prawie w całym mieście, a zarząd miejski zdaje się wówczas zajęty jedyną, ważną sprawą, mianowicie wystąpieniem maluczkich obywateli, którzy stają się rzeczywiście bohaterami dnia.

Obserwowałam nieraz bacznie dzieci szwajcarskie. Widziałam np. jak bawiły się w parku całą gromadą, wesołe i swobodne jak zawsze. Nagle nadciągnęła burza z piorunami i gradem. Żadne z dzieci, nawet najmniejsze, nie zlękło się burzy. Gdy grad zaczął padać wielki jak ziarnka bobu, wówczas dzieci schroniły się do altany, ale pomimo błyskawic i piorunów ani na chwilę nie przestały bawić się wesoło. Można niekiedy widzieć dzieci siedmioletnie, podróżujące same, nie znać przytym na nich żadnego zakłopotania. Czegoż by się zresztą miały obawiać? Wszak każdy się nimi zaopiekuje w razie potrzeby. Ludzie bywają tu często sztywni i niezbyt uczynni, ale dla dziecka każdy ma uśmiech przyjazny, to też ono zwraca się do obcych z całym zaufaniem.

W drodze do Interlaken zaznajomiłam się z małym chłopcem, ubranym w strój berneński. Miał on puszkę na rośliny, przewieszoną przez ramię i torebkę na plecach,—widocznie wracał z wycieczki. Stanąwszy przy oknie wagonu, przez które wyglądałam, zapytał mię najpierw grzecznie, czy mi nie przeszkadza, a następnie rozpoczął ze mną rozmowę. wskazując mi szczyty okoliczne i opowiadając o swoich wycieczkach. Niewiele rozumiałam z tego co mówił w swoim narzeczu berneńskim, ale wdzięk tego dziecka, jego prostota i naturalność, jego świeża, ożywiona i inteligientna twarzyczka, jego błyszczące niebieskie oczy, wszystko to mię oczarowało i pozostawiło miłe wspomnienie. Dzieci tutejsze zdobywają szturmem sympatję podróżnych, bo nigdy nie bywają uprzykrzone, jak gdzieindziej, chociaż się zachowują z zupełną swobodą."

Jeszcze jeden obrazek ze szkoły.

Zwiedzamy szkołę elementarną w Zurichu. Dzień jasny, słoneczny; stanąwszy przed budynkiem szkolnym, wprost osłupiałam. Budynek ozdobiony jest z wierzchu popiersiami znakomitych ludzi, ogromna sień wsparta na dwóch rzędach kolumn; po obu stronach do kamiennych wanien spływają dwa strumienie czystej jak kryształ wody, aby dzieci mogły się myć podczas pauzy, ściany na wysokość półtora łokcia wyłożone czerwonym marmurem. Na dole znajduje się ogromna sala gimnastyczna, na górze, gdzie wchodzimy po szerokich schodach kamiennych, mieszczą się sale szkolne i ogródek freblowski. Mieszkanie woźnego składa się z dwóch ładnych pokoi, wykładanych drzewem, i z kuchni.

Przed budynkiem szkolnym, tłoczy się dziatwa, ładując na furgon swoje tłumoczki. Są to chłopcy, wyjeżdżający na kolonie. Bogatsi płacą, ubodzy jadą bezpłatnie.

Woźny oprowadza nas po salach szkolnych, zapytując ciekawie, czy w naszych szkołach jeszcze dotąd odbywają się wykłady w języku urzędowym?

Zwiedzamy najpierw ogródek freblowski. Kilkadziesiąt dzieci obojej płci bawi się pod opieką ochroniarki, która nam się wydała nader umiejętną i wyrobioną. Dzieci bawią się czem mogą i umieją, ale największa uwaga zwrócona jest na rysunek. Dozorczyni rysuje i opowiada dzieciom o narysowanem, a one następnie starają się to samo przerysowywać, lub też kopiują różne przedmioty z natury. Później rozpoczynają się śpiewy, które dzieci lubią niezmiernie; — w piosnkach podaje się dzieciom najprostsze, najbliższe pojęcie ze świata otaczającego.

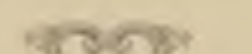
Jeden z nauczycieli zaprasza do swojej klasy na lekcję gieografji. Ze dwadzieścia dziewcząt w wieku od lat 13—14 podają mu rękę na powitanie, potem przynoszą nam swoje atlasy szkolne, abyśmy mogły śledzić za wykładem. Nauczyciel zapytuje najpierw, gdzie leży Warszawa? Kilkanaście rąk zaraz się podnosi, każda odpowiada na wyścigi co wie, a jak na uczennice szkoły elementarnej, wiedzą bardzo wiele, zarówno o gieograficznym położeniu, jak i o politycznym stanie naszego kraju. Nauczyciel nie prowadzi systematycznego wykładu lecz każe mówić jaknajwięcej uczennicom—sam zaś wciąż dorzuca uwagi i objaśnienia, które przedmiot ożywiają i czynią bardziej zajmującym. Jego twarz poważna i sympatyczna ożywia się stopniowo, uczennice słuchają z zajęciem — nie zauważyłam ani jednej twarzy z wyrazem sennym lub znudzonym. W podskokach biegną do tablicy, na nas rzucają spojrzenia ciekawe, ale i uprzejme Na pożegnanie wszystkie podają nam ręce i rozbiegają się, jak ptaki — jasne, promienne młodością i życiem. Dla nich z pewnością pobyt w szkole pozostanie najmilszem wspomnieniem!

Wychodzimy na podwórze, na którym rosną rozłożyste drzewa i krzewy, a ściany oraz mur pokryte są pnącymi różami, w kwiecie i liljowymi clematis'ami. Kosy świegocą wesoło. Zauważyłyśmy, że na oknach w klasach stoją doniczki z małymi roślinkami, — to dzieci je hodują, aby nawykały w ten sposób do zamiłowania przyrody. Na katedrze widziałam wiązankę kwiatów, zarówno jak w pokoju nauczycielskim.

Nazajutrz będąc w „Pestalozzianum" czytałam obszerny artykuł w *Schweizerische Pedagogische Zeitschrift*, napisany gorąco i niemal podniośle o potrzebie budzenia w dzieciach poczucia estetycznego. Autor artykułu zarzucał szkołom szwajcarskim, że zbyt mało zwracają na to uwagi i nawoływał do szerzenia piękna w otoczeniu szkolnym.

Co by też powiedział widząc nasze szkoły?

M. Ł.



Uniwersytet dla Wszystkich podaje nam następującą wzmiankę z prośbą o umieszczenie:

We wrześniu r. b. otwarty zostaje zorganizowany już rok temu systematyczny kurs pedagogiki p. Stanisława Karpowicza. Wykłady obejmują całą pedagogikę w treściwym a przystępnym zarysie.

Kurs składa się z dwóch części: 1) Zasady ogólne, teoretyczne, gdzie wskazane będą cele i drogi kształcenia młodzieży we wszystkich okresach jej rozwoju i 2) Zasady praktyczne, wyjaśniające jakich środków i metod używać należy w wychowaniu fizycznym, umysłowym i moralnym w myśl ideałów pedagogicznych i zgodnie z potrzebami społecznymi. Część I t. j. logika wychowania zawrze się w 37 wykładach, podzielonych na 8 serji, z których każda stanowi mniej lub więcej zaokrągloną całość. Serja I. Istota i ostateczny cel wychowania (w 9 wykładach). Serja II. Główne zadania wychowania (w 5 wykładach). Serja III Zasady i plan wykształcenia ogólnego (w 5 wykł.) Serja IV. Zasady wychowania moralnego (w 6 wykł.) Serja V. Zasady wychowania estetycznego (w 2 wykł.) Serja VI. Wykształcenie zawodowe i kształcenie indywidualności (w 4 wykł.) Serja VII. Różne kierunki wychowania (w 3 wykł.) Serja VIII. Zasady i warunki wychowania dzieci normalnych i nienormalnych (w 8 wykł.)

Ażeby słuchacze mogli łatwiej orjentować się w wykładanym przedmiocie, pożądane jest przynajmniej 4-o .klasowe przygotowanie i chociażby elementarna znajomość nauk przyrodniczych. W celu rozszerzenia, ugruntowania i uporządkowania nabywanych wiadomości, co miesiąc urządzane będą konferencje wykładającego ze słuchaczami — w sprawach poruszanych na wykładach poprzednich. Odpowiednie książki pomocnicze polecone będą w miarę potrzeby podczas wykładów. Zapisy na wykłady powyższe przyjmuje Biuro Zarządu Uniw. dla Wszystkich (Wspólna 26 m. 1) w dni powszednie od 11—1 i od 7—9, w świąteczne od 9—11.

Koszta kursu wynoszą: dla członków Uniwersytetu rb. 7 kop. 40 za 37 wykładów, dla osób postronnych rb. 9 kop. 25, płatne w dwóch ratach za pierwsze 3 serje i za 5 serji następnych.

Wykłady odbywać się będą w godzinach wieczornych dwa razy tygodniowo.



LITERATURA I SZTUKA.

Jerzy Orwicz: **Witeź Iwo**. Fantazja sceniczna w 3-ch aktach na tle słowiańskich podań osnuta. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. Warszawa, str. 101 in 4°.

Talent poetycki Jerzego Orwicza niejednokrotnie przypominał się już naszej publiczności. Dotychczas z lutni poety, wychodziły drobne utwory, mające jednak zawsze urok szczerości uczucia i szlachetnego liryzmu. Dziś leży przed nami utwór epicki „Witeź Iwo", zakrojony szerzej, głębiej, i posiadający zarazem poprzednie rysy cechujące autora, co dowodzi rozwoju talentu i wróży piękną przyszłość twórcy.

Poemat ten, to cudny, mistyczny świat baśni, owiany mgłą wspomnień prastarych, tryskający płomienną, serdeczną miłością Matki-Ziemi... A znać morze całe takiej miłości w duszy autora, jeśli zdobyć się umiał na dźwięki rzewne lecz silne, na ton głęboki, mocny, który duszę czaruje i w krainę mitów słowiańskich przenosi.

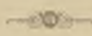
Bohater poematu to dusza narodu. Idzie poprzez puszcze i gaje pełne Dziwów leśnych, boginek. Odtrąca pokusy pięknej Lelji, tęsknotą gnany zjawia się wśród gromady bratniej, gdzie przygotowania do boju z Lutykami wrą... Obcy — wróg niemal, sąsiad — niemiec pomaga.

Iwo oburza się, czuje zdradę. Piękna Olcha spragniona pieszczot i sławy kochanka, zwraca uczucia swe w stronę margrafa Bruna, który jej obiecuje żoną swą uczynić. Rzewną skargą brzmi w poemacie postać Kaliny, porzuconej przez Sławosza, dziewoi. Sławosz, druh Brunona, wierzy w jego moc i mężne ramię. Wierzy iż obcy, spokój da uciśnionym. Przeczucia Iwona sprawdzają się... Wódz Skandynawów Sweno chce zagarnąć ziemię Słowiańską. Bruno podstępem miał mu ją wydać. Gwar i zamieszanie. Bruno wśród uczty zraniony przez Swena, Olchę niewoli ku sobie, uchodzą.

Kmiecie spoglądają z przerażeniem na płonącą gontynę, z której wróg-przyjaciel niedawny, łupy bogate unosi. W dalszym ciągu poetycznego dramatu, widzimy bohaterskiego Witezia z rozkazu Brunona przykutego do skały. Jeśli jak drugi Prometeusz zdoła kaźń srogą przez siedem nocy i dni tyleż wytrzymać — stu braci jego kmieci w niewolę zagnanych, swobodę odzyska. Tymczasem piękna Olcha dni smutne w zamku margrafa spędza. Żona Brunona Geira na branką nieufnie spogląda, skarży się na nią przed bratem. Powraca margraf zwycięski, świetną obwołuje ucztę każe sprowadzić Witezia, któremu na znak przebaczenia i miru puhar zatruty podaje. Olcha na widok Iwona żalem nagłym zdjęta, w namiętnych słowach miłość swą mu wyznaje, lecz zbolały Witeź pogardliwie odtrąca nałożnicę wroga. Poemat zbliża się do końca. Zrozpaczona Olcha wypija puhar podany Swenowi, w tej chwili słychać trwożny głos dzwonów i szum fal morskich, które według podania, nagle zatopiły dumny gród Lutyków. Ale Witeź ocalał. Uprowadza go Dziw leśny przebrany za minstrela nadobnej Geiry. Wpół omdlały Iwo znajduje się wśród lasu, gdzie ukazuje mu się symboliczny duch Matki, wizja nad nad płonącym stosem drzewa, na który rzuca się bohater po cudnej improwizacji. I zdawałoby się, że to już koniec pieśni, że śmierć w płomieniach stosu, kres jej kładzie. Nie, duch jest nieśmiertelny, odżyje w pieśni starców i w piersi Mirka pachołęcia, który na świeżych zgliszczach orlęciem młodem się staje.

Podkreślić należy sumienną pracę autora w wyszukiwaniu źródeł prahistorycznych. Poemat pisany dźwięcznym rymem, mile pieśni ucho.

Mir.



Teatr Letni: **„Hrabina Cosel"**, sztuka historyczna w trzech aktach z prologiem St. Kozłowskiego.

Tyle atłasu — szkoda atłasu... Scena Warszawska nie widziała chyba jeszcze nigdy takiego doboru kostjumów i tualet, jak ten, którym starano się podeprzeć i okupić całe nicestwo ostatniej premjery Teatru Letniego. Przed kilkoma tygodniami wystawiono w Teatrze Wielkim „Hamleta", dla arcydzieła jednak szekspirowskiego dyrekcja nie miała tyle pietyzmu, co dla „Hrabiny Cosel", dekoracje były ubożuchne, a kostjumy robiły wrażenie pstrych szmat naprędce posszywanych z kolderek pasiastych i starych pokryć z kanapek. Ów chłopek z bajki, który wystawiał sobie, że król przez cały dzień chodzi w koronie i tylko, udając się na spoczynek, zdejmuje ją z głowy i kładzie obok swego łóżka, byłby w swoim żywiole, patrząc na tę królowę, która od początku sztuki aż do jej końca ma na sobie jedną i tę samą królewską szatę i w niej przyjmuje posłów, w niej idzie za pogrzebem Ofelji i w niej rozmawia nocą z Hamletem w swej prywatnej świetlicy. Była to „prawdziwa" królowa dla chłopka, bo my, widząc ją tak niewymagającą, czuliśmy dla niej co najwyżej uznanie za to, że przez swe skromne widocznie apanaże nie rujnuje skarbu państwa duńskiego — bo też źle się działo w owe czasy w Państwie Duńskim!

Obecnie dzieje się widocznie lepiej, bo dla „Hr. Cosel" puszczono w ruch całą tęczę barw, całą gamę lśnień i blasków — od matowych, wzorzystych cieniów gazy do miękkich, mieniących się połysków atłasu i głębokich rozbłysków aksamitu; poruszono całą armję krawców i modystek i stworzono piękne dzieło, którego jedynym błędem, czy brakiem była sztuka, którą z takim nakładem pracy i płacy wystawiono.

Treść hr. Cosel jest powszechnie znaną: są to dzieje faworyty Augusta Mocnego, którą uroda wyniosła „do stóp" tronu, a duma następnie zepchnęła do lochów więziennych. Tragedja jej polegała na tym, że, kochając Augusta, nie mogła zapomnieć o swym dość ciasnym pojęciu godności kobiecej a, oddając mu się, pragnęła się łudzić myślą, że jest to tylko stan dość liberalnie pojętego narzeczeństwa, po którym nastąpi ślub w chwili, gdy obecna żona króla zdecyduje się wreszcie umrzeć.

Już samo to założenie jest dość trywjalne. We Francji utarł się zwyczaj, że rejentalnie spisany testament przekazujący wszystkie prawa do spadku po śmierci chlebodawcy jego pokojówce zastępuje w zupełności zaręczyny między nimi, obietnice zaślubienia jej przez niego, a nawet sam ślub i mówi się wtedy: il l'a couché sur son testament. Hr. Cosel jest subtelniejszą, bo, czyniąc spełnienie swych marzeń zależnym od śmierci osoby trzeciej, nie potrzebuje z utęsknieniem oczekiwać śmierci swego królewskiego kochanka, jest w zgodzie ze sobą i z zasadami swej moralności. Pomimo to jednak scena, w której ten pakt zostaje zawiązany, w której odbywa się ten targ kończący się podpisaniem i przypieczętowaniem przez króla śmiesznego cyrografu, posiada dla mnie więcej nawet cynizmu, niż ten obrazek z drobnomieszczańskiego życia, gdy pan ściele wygodne łóżko dla swej pokojówki.

Scena ta jednak była konieczną, a cyrograf królewski — niezbędnym, bo inaczej nie byłoby dalszego ciągu sztuki, która i tak już nie jest bogatą w motywy. Jacyś ludzie kręcą się tu ciągle po scenie bez celu, lub też zjawiają się na niej bez logicznego uzasadnienia jedynie po to, by niezgrabnym ruchem popchnąć zamierającą co chwila akcję. Djalogi ich są czcze i puste, ma się wrażenie, że nie mają oni sobie nic do powiedzenia i wyciskają dawno już zarzucone „elementarze etyki", byle tylko nie dać usnąć tym panom z krzeseł i z ławek, którzy przecież za to płacą, by coś usłyszyć.

Tak samo przedstawia się i akcja sama: ani jeden jej motyw nie jest dostatecznie przygotowany i uzasadniony. Autor nie liczy się zupełnie z tym, że widz chce voir venir les choses, a skoki i niespodzianki bawią go tylko w farsie. P. Kozłowski wie, że pewne fakty miały rzeczywiście miejsce, że odbyły się one tak, jak je opisuje Kraszewski, albo może trochę inaczej, ale faktami tymi operuje jak kronikarz, który nie usiłuje nawet logicznie ich wiązać i psychologicznie ich motywować, to też, gdy hr. Cosel, której dotąd nie posądzaliśmy o jakiekolwiek uczucia dla króla, wybucha nagle swym płomiennym wyznaniem, zdziwieniu swemu dajemy wyraz przez śmiech — a przecież ta scena była obliczona na inne wrażenie — tylko że była źle obliczona.

Wobec tego i artyści, którym sztuka nieposiadająca ani jednej pełnej, subtelnie wycieniowanej postaci nie dawała pola do popisu, własnymi wysiłkami nie wiele co uczynić mogli. Napróżno p. Siennicka wznosiła oczy, wspominając o biblji i podnosiła głos, mówiąc o swej miłości do Augusta, napróżno p. Knacke-Zawadzki chciał wzmacniać tego Augusta, który podobno był rzeczywiście mocnym — oboje oni nie mogli wybrnąć z szablonu przeciętnych kochanków, który im narzucał autor. Inni paradowali w swych galowych szatach i oko bez niechęci nawet spoczywało na nich, ale podczas całego przedstawienia hr. Cosel, gdym podziwiał te wszystkie wykwintne galganki, dźwięczała mi w uszach piosenka P. Delmeta, w której autor, wyliczywszy uprzednio wszystkie wdzięki „Jej" toalety, a więc petites fleurs de son chapeau, petits bas, petites bottines et la chemisette sur sa peau, zwraca się do niej i mówi: votre mignonne demoiselle était gentille assurement — mais vous avez plus d'esprit qu'elle même...

Stefan Gacki.



Z PRASY.

Wywczasy polityczne.

Ze zbliżaniem się drugiej sesji trzeciej Dumy polityka znowu w całej pełni wypłynęła na szpalty prasy. Powiew konstytucyjny ze Wschodu a reakcyjny wewnątrz musiał podziałać na szybsze różniczkowanie się niewyraźnych i niezdecydowanych stronnictw dumskich, do których przedewszystkiem należeli i należą październikowcy i umiarkowana prawica.

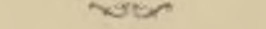
Samo więc życie zmusiło październikowców do jaśniejszego wypowiedzenia się, co ma stać się na projektowanym a już bliskim zjeździe. Sądząc z dotychczasowych już pertraktacji, zjazd skonstatuje tylko dawno oczekiwany i nieunikniony rozłam tej partji, gdzie, obok szczerego zwolennika rządów konstytucyjnych zasiadał najczystszej wody związkowiec, co ułatwiało prawicy przeprowadzanie reakcyjnych projektów, bo działali nietylko pod swoją, ale i pod cudzą firmą.

Dziś związkowcy z powodu rozłamu wśród październikowców, wyrażają radość i czekają tylko na ten moment, kiedy będą mogli powiększyć swoje szeregi. Zbytnia radość wydaje mi się jednak przedwczesną, gdyż rozłam wśród październikowców może rzeczywiście zasilić prawicę i uczynić ją więcej wpływową pod względem liczby głosów, ale z drugiej strony wzmocni się i opozycja, która choćby nawet i w barwie swej nieco przybladła, jednak zasadnie pozostanie na gruncie konstytucyjnym i nie pozwoli na uchwalanie praw antykonstytucyjnych w swej treści.

Sprawa polska na przypuszczalnych zmianach narazie nie zyska, bo sama opozycja, pomimo to, że ciągle sprawę polską wysuwa i uznaje za naglą do załatwienia, jednak jak by radzi nie poruszać obecnie, uważając, że dzisiejszy układ Dumy jest najnieodpowiedniejszy do załatwiania kwestji nacjonalistycznych, które mogą tylko wzbudzić namiętności prawicy, spowodować nowe skandaliczne burdy a do rezultatu nie doprowadzić.

Zasadniczo jednak prasa rosyjska postępowa w sprawie polskiej stoi na dalej idącym stanowisku, niżeli niektóre organy polskie jak np. petersburski *Kraj*.

F. H.



Prawowierny *Lechita* zdobył się w ostatnim zeszycie na niemałą odwagę! Oto cały wstępny artykuł p. Synoradzki poświęca ocenianiu dzisiejszego kościoła katolickiego — i do smutnych dochodzi rezultatów. Rozgląda się wokoło i wszędzie widzi upadek religijności tam, skąd już ona nawet obowiązkowo winna przyświecać. Co więcej, szuka w obrębie kościoła drgnień czy projektów, któreby świadczyły o szczerej chęci i głębokiej możności naprawy — i nie znajduje! „Wprawdzie coś się robi", ale p. S. rozbiera po kolei przejawy tego „czegoś" — i dochodzi do przekonania, że to jest — nic. „Zgrzyty i syki" w łonie samych tych kół, podejmujących naprawę stosunków kościelno-religijnych, a nawet — denuncjacje, pod stopy apostolskiego tronu składane na nieco tylko śmielsze jednostki... Więc katolicki *Lechita* czuje się zmuszonym sferom „miarodajnym" rzucić wezwanie: Lekarzu, ulecz samego siebie!...

Nam, którzy w imię rozwoju i swobody ducha skupiamy się w obozach dalekich od instytucji kościelnej, co w niej widzimy, dawno twierdzę obłudy i świętokupczenia, takie głosy z jej zastępów obrończych są tylko nowem stwierdzeniem rozkładu. Tych wszystkich zaś, którzy z niewątpliwą szczerością ujawniają chęć naprawy walących się murów, przestrzegamy: niech się nie łudzą!... Wszak sami niejednokrotnie przekonali się, że każde choćby z największymi zastrzeżeniami czynione próby reform spotykają się z bezwzględnem odrzuceniem i potępieniem ze strony zwierzchności papieskiej. Co się stało z „modernistami" włoskimi, czy innymi? Pan S. sam przyznaje, że „zostali stanowczo potępieni przez stolicę apostolską". A wszak ci ludzie na każdym kroku zaznaczali chęć pozostania w kościele, bronili się przeciwko wszelkim zarzutom odstępstwa... I dano im jasno do wyboru: albo ugiąć się i zmilknąć — albo odejść! Zabrakło im odwagi na wysnucie śmiałych konsekwencji z pierwszego kroku! To samo było i musi być zawsze. Śmielsi, niezdolni do kompromisu, występowali, zrzucali nawet suknie księże, woleli swobodę walki, niż zabójczą zasadę „solidarności" z instytucją skamieniałą i martwą. Pod tym względem u nas marjawici okazali najwięcej odwagi i konsekwencji, choć bynajmniej nie możemy się zachwycać sektą, pełną średniowieczczyzny.

A sam p. Synoradzki? Zdobywszy się na pochwały godną odwagę, zlekka cofa się i zaczyna bić się w piersi nawet za to niewiele, co się poważył wypowiedzieć. „...Nie spodziewam się złego przyjęcia ze strony zainteresowanej. Mam przecież do czynienia z przedstawicielami mego kościoła, a kościół katolicki... nie zbacza na krok w prawo ni w lewo... nie zna niedorzecznych ustępstw, ani zaciekłych napaści"... itd. itd. Pochlebstwa i pokłony i przeproszenia za chwilową śmiałość. I pocóż to oszukiwać — samego siebie?! Instytucja, oparta na dogmacie i wyłączności nie może pobłażliwie słuchać uwag ze strony byle „niepoświęconego" człowieka — tembardziej, że z „poświęconymi" daje sobie radę. Kto raz poczuł, że zło się tam zagnieździło, musi albo wyjść poza jej granice — albo zostawszy w niej — milczeć...



Przegląd przeglądów

Archiv fur Socialwissenschaft und Socialpolitik (t. 24, z. 2). J. Simmel poddaje ścisłej analizie istotę *psychologji społecznej* i dochodzi do wniosku, że właściwym jej przedmiotem są zmiany, jakim ulega pod wpływem środowiska społecznego proces psychiczny, zachodzący w jednostkach. Jest więc psychologja społeczna poddziałem psychologji ogólnej t. j. indywidualnej i przedstawia pewną analogję z psychofizjologją, gdy ta bowiem bada zależność zjawisk duchowych od ich związku z ciałem, to psychologja społeczna bada ich zależność od związku ich z innymi duszami. Definicja Simmla nie dopuszcza przeciwstawiania psychologji społecznej, psychologji indywidualnej, które to przeciwstawienie o tyle zawsze niedogodnym będzie dla psychologji społecznej, ile niezaprzeczonym pozostanie fakt, że wszystkie zjawiska psychiczne nie mogą odbywać się gdzieindziej jak tylko w jednostce—Ch. Cornelissen w ciekawym studjum rozpatruje *ewolucję anarchizmu*. Autor uważa syndykalizm rewolucyjny za ostatnią fazę rozwoju anarchizmu. Przyjmując ten punkt widzenia, a przemawia za nim wiele teoretycznych względów i faktycznych danych, stajemy wobec interesującego momentu rozwojowego, który w szablonie djalektyki Hegla odpowiadałby etapowi antytezy. Indywidualizm pierwotny ustąpił bowiem miejsca kolektywizmowi, autonomja jednostki idealowi solidarności. Ewolucję tę tłumaczy C. wpływem na ideologję ruchu anarchistycznego mas robotniczych, które wzięły w nim udział. Wolność osobista, tak ceniona przez inteligentów, miała dla nich oczywiście mniejszą wartość niż polepszenie warunków bytu materjalnego, dające się osiągnąć jedynie w drodze zrzeszonych wysiłków, doświadczenie zaś praktyczne unaoczniało im bez przerwy zależność dobra jednostki od dobra ogółu—klasy. Krom iluzorycznej swobody przynależenia do związku niewiele pozostało z autonomji jednostki w akcji związkowej, ba nawet autonomja grup, w której resztki indywidualistycznych tendencji przez czas jakiś szukały dla siebie ujścia, ostać się nie mogła wobec korzyści zapewnianych przez centralizację. Krytyka zasady organizacji (majoryzowanie mniejszości przez większość, gwałcenie wolności przekonań przez przyjmowanie wspólnego programu) właściwą była pierwotnemu okresowi ruchu anarchistycznego, okresowi akcji indywidualnej za pomocą bomb. Spóźnionym echem tych poglądów był odrzucony przez większość,

wniosek na zeszłorocznym amsterdamskim kongresie, który nazwany został „pierwszym, niezależnym anarchistycznym kongresem", domagający się uznania za zasadę, iż ramy organizacyjne nie powinny krępować swobodnego rozwoju indywidualności jednostki; takim że echem był protest w tygodniku *Der Freie Arbeiter*, organie pewnej grupy anarchistów niemieckich, przeciw przyjęciu przez manuheimską konferencyę (1907) obowiązującego niemiecką federacyę programu. Takie programy jednak posiadają narodowe federacje anarchistyczne w Anglji, Belgji, Holandji, francuskiej Szwajcarji, Czechach, Portugalji. Wspólną ich cechą: antypaństwowość, antyparlamentaryzm i uznawanie jedynie akcji bezpośredniej. Stosunek do socjalistów jest wrogim; holendersey anarchiści w swej deklaracji zasad (wyrażenie „program" stoi na indeksie) oświadczają, że obowiązkiem niezależnych komunistów (nazwa oficjalna) jest zwalczanie również socjalizmu państwowego, jako nowej formy niewolnictwa. Odrzucając ideję politycznej dyktatury proletarjatu sądzą, iż przejście od obecnego ustroju do bezpaństwowej, kolektywistycznej organizacji przyszłości nastąpi w drodze faktycznego owładnięcia procesu produkcji przez klasę robotniczą. Codzienne starcia między kapitałem a pracą są właściwie walką o rządy w fabryce i warsztacie; przedsiębiorcy przestawszy być w nich panami wyrzekną się kierownictwa produkcją, które obejmą związki robotnicze. Im ostrzejsze i dokuczliwsze są środki walki, tym rychlej wiodą do celu, stąd „sabotage" (niszczenie materjałów pracy) cieszy się specjalnym uznaniem; najpotężniejszą i ostateczną bronią proletarjatu jest jednak strejk powszechny. Program i taktyka współczesnego anarchizmu rozwinęły się w syndykatach francuskich, do których z końcem ubiegłego stulecia napływać poczęły najzdolniejsze i najenergiczniejsze jednostki z pośród anarchistów, zniechęcone bezpłodnymi sporami w grupach anarchistycznych na temat granic praw jednostki i społeczeństwa. Życie związkowe starło krańcowość indywidualizmu, natomiast ruch syndykalistyczny przyjął od nich negację roli państwa. Ciekawym wyrazem dyferencjacji pierwotnego indywidualizmu jest następujące zdanie jednego z amerykańskich anarchistów: „Odosobniony człowiek jest dopiero początkiem indywidualności, kto stał się z kolei synem, bratem, towarzyszem, przyjacielem, obywatelem, małżonkiem, ojcem, ten tylekroć pomnożył swą indywidualność". Wobec powyższego zarysu ewolucji anarchizmu zauważyć przecież należy jedno: podkreślana przez Cornelissena rozbieżność między punktem wyjścia a obecną fazą rozwoju anarchizmu występi w pełni tylko wtedy, jeśli zgodnie z wyobrażeniem dość zresztą powszechnym utożsamiać będziemy anarchizm z krańcowym indywidualizmem, atoli w rzędzie teoretyków anarchizmu obok indywidualisty Stirnera stoi także kolektywista Kropotkin, którego etyka (patrz: *La Morale anarchiste*) jest właściwie nawskroś solidarystyczną. Możeby więc tylko powiedzieć należało, że Stirner — cieszący się przed kilkunastu jeszcze laty wielkim uznaniem w kołach anarchistów niemieckiego zwłaszcza pochodzenia—ustąpił miejsca Kropotkinowi. P. Louis daje syntetyczny obraz rozwoju *prawodawstwa robotniczego* we Francji w ubiegłym stuleciu. Obok rozbioru norm prawnych w artykule znajdujemy również omówienie najważniejszych projektów reform. Autor dostrzega ścisły związek między wzrostem organizacji robotniczych a rozwojem pracy. Na tok tego rozwoju wpływały również stosunki polityczne; gdy drobnomieszczaństwo walczyło o władzę z wielką burżuazją w ciągu ćwierci wieku, wtedy postępy społecznego prawodawstwa były znaczne. Znalazszy się u steru drobnomieszczaństwo zajęło wrogie stanowisko wobec dalszych reform zwłaszcza, że żądania robotnicze tyczące spoczynku niedzielnego, ubezpieczenia na starość i w razie niezdolności do pracy zagrażały jego własnym interesom. Tym tłumaczy się zastój lat ostatnich, oraz fakt, że wiele projektów wniesionych poprzednio przez rząd i mających dawniej zapewnioną większość, obecnie nie ma warunków przejścia. Skutkiem zastoju tego w wielu kierunkach francuskie prawodawstwo społeczne niedorównuje prawodawstwu państw sąsiednich. Również wykonanie ustaw, mających na celu dobro robotnika, niezadawala autora. Uwagi godną jest także praca H. Macrosty'ego: *Dzieje angielskiego prawa strejkowego z 1906 r.*; autor przytacza w streszczeniu wyniki badań komisji królewskiej i dotyczące rozprawy w obu izbach.



* * *

W Atenach ma być w krótkim czasie przywrócone poselstwo perskie. W tej sprawie i z racji tego faktu prasa petersburska przytacza nader ciekawe szczegóły historyczne: Król perski Kserkses zerwał stosunki dyplomatyczne z Grecją po zwycięstwie tych ostatnich w bitwie pod Salaminą w roku 480 przed Chrystusem. Od tego czasu mimo zabiegów tak utalentowanych i wytrawnych dyplomatów jakich posiadały „gabinety" Peryklesa i Temistoklesa, nie udało się zreperować nadwerężonych stosunków między tymi dwoma mocarstwami. To jednak co odrazu nie było możliwe na drodze najzręczniejszych zabiegów dyplomatycznych, z biegiem czasu zrobiła konstytucja; szach perski uznał, że motywy, które wywołały odwołanie posła perskiego z Aten, straciły swą aktualność i, opierając się choćby na tem, że Francja potrafiła się pogodzić z faktem klęski pod Sedanem, należy tembardziej puścić w niepamięć porażkę pod Salaminą.

W każdym razie zarówno Perykles, jak i Temistokles zgrzeszyli nieprzezornością, nie umieli przewidzieć niedalekiej przyszłości, co jest jednak warunkiem wprost koniecznym dla każdego polityka; — zniechęceni ostatecznie do swej akcji pojednawczej, uznali, że z krajem tak barbarzyńskim, jak Persja, stosunki dyplomatyczne nie dadzą się wznowić i utrzymać, tymczasem nie upłynęło nawet 3000 lat, gdy fakty zadały kłam ich nieprzezornym twierdzeniom i w dodatku rozgniewany dawniejszy sąsiad bezpośredni, sam dłoń do zgody wyciąga.

Niemałą przyczynę tego przyjaznego stanowiska Persji względem Grecji było nowo ugrupowanie się niedawno powstałych mocarstw, jak Anglja, Francja, Rosja, Austrja, Turcja i inne. Persja czekała naturalnie czas jakiś aż te nowotwory polityczne nieco swe władztwo ugruntują, z chwilą jednak gdy przekonała się że przestały być efemerydą, niezwłocznie zorjentowała się w wytworzonej nowej sytuacji, rezultatem czego jest fakt pogodzenia się tych dwóch mocarstw.

K-w.



Memorabilja polityczne.

Warszawa, 1 września.

Akcja polityczna państw europejskich zawieszona jest chwilowo wobec przewrotu tureckiego i zmiany tronu w Marokku. Od nowych wystąpień w tych dwóch kwestjach, które poprzednio przedstawiały niewyczerpany materjał do zajęć i sporów dyplomatycznych, mocarstwa wstrzymują się na teraz, zachowując sympatycznie wyczekującą postawę względem obydwóch. Przedewszystkiem tyczy się to Turcji, gdyż względem Marokka w postępowaniu Turcji i Niemiec, widać więcej niepewności z powodu nieprzygotowania się do nowej sytuacji niż sympatji. Oba państwa pragną wyzyskać ją dla swoich interesów i oba niechcą przez jakiś niewczesny krok przynieść tym interesom ujmy lub oddalić od siebie zdobycie spodziewanych korzyści.

Tymczasem Mulej-Hafid, który bądź co bądź wykazał nierównie więcej energji i rozumu niż jego brat strącony z tronu, nie spieszy się z wyjaśnieniem położenia. Niewiadomo jeszcze, czy zechce, stanąwszy u szczytu władzy państwowej, opierać się w dalszym ciągu na tym samym prądzie nacjonalistycznych czy rasowych uczuć swoich poddanych, z którego wyrosł, czy też wzorem swego poprzednika zwróci się do modernizowania Marokka według norm cywilizacji europejskiej. Decyzja dla niego jest dość trudna, ponieważ wśród ludności krajowej przeważa duch nacjonalistyczny i nieprzejednany dla wpływów cudzoziemskich, on zaś, jak się zdaje, choćby chciał, nie może zrywać z zagranicą gdy ma armię francuską na karku. Podobno ogłosił już w Tangerze, iż uznaje postanowienia umowy w Algeciras i będzie szanować inne traktaty międzynarodowe, zawarte przez rząd byłego sułtana, lecz na tych aktach nie ogranicza się jeszcze lista obowiązków, jakie ma do spełnienia, zanim mocarstwa uznają jego panowanie.

Francja szykuje długi rachunek pretensji, żąda uznania swych szczególnych praw i gwarancji dla udzielonych Abdul Azisowi zaliczeń. Z góry wiedzieć można, że Francja pieniędzy od Mulej-Hafida nie wyciągnie, więc zamiast gotówki będzie się starać o pozyskanie i zabezpieczenie dla siebie nowych środków utrzymania pod swoją kontrolą Marokka, na co znów oczywiście Niemcy się nie zgodzą i co musi koniecznie doprowadzić do zawikłań a ewentualnie i do starcia. Już projekt wydzierżawienia przez Francję pewnych terytorjów w Marokku i w innych punktach Afryki, suggestjonowany, jak mówią, przez Anglję, budzi niemiłą sensację w Niemczech i prawdopodobnie wywoła namiętny opór. W Berlinie żadnej do tego przeszkody nie znajdują w procedensie wytworzonym co do tego przez same Niemcy, które zadzierżawiły od Chin Kiaczau na lat 99.

Takie są niewątpliwe powody do przewidywania, że widnokrąg polityczny od strony Marokka kryje w sobie zarodki przyszłych burz, zdolnych zamącić spokój Europy.

* * *

Nie brak do tego bynajmniej powodów i w samym wnętrzu naszej części świata. Zatarg pomiędzy Anglją a Niemcami przybiera coraz ostrzejszą postać, której zmienić nie zdołało spotkanie monarchów w Cronberg, ani pacyfistyczne przekonania wysłanego do Niemiec ministra brytańskiego Lloyd-George'a. W Anglji przypuszczano, że po wymianie kuzynowskich grzeczności między panującymi można będzie spodziewać się, iż Niemcy przedstawią jakąś możliwą propozycję przystąpienia do dyskusji nad ograniczeniem uzbrojeń, mianowicie olbrzymiego ich na dziesięć lat programu marynarki, lecz się omylono. Gdy po wstępnych zapewnieniach o swym gorącym zamiłowaniu pokoju, ten sam Lloyd-George, który pozwolił sobie na krytykę budżetu morskiego swojego rządu, oświadczył że zrobi wszystko co jest w jego mocy, aby doprowadzić do porozumienia Anglji z Niemcami, ale zradby wpierw usłyszeć i wyrozumieć projekt niemiecki, dalsze rozprawy odrazu przerwane zostały. Prasa niemiecka jednym chórem stwierdziła, że wytworzenie potężnej floty jest sprawą narodową, a świeżo cesarz Wilhelm w mowie strasburskiej sankcjonował własnym słowem sąd taki, ogłaszając, że Niemcy

i „nadal utrzymają się na dotychczasowej wysokości swoich uzbrojeń lądowych i morskich".

Ta mowa nazywana z naciskiem przez całą prasę niemiecką „pokojową" i pod tym tytułem zalecana do powszechnego uwielbienia, jest właściwie czemś, co ma wszystkie pozory deklaracji ostatecznej: trudno bowiem oczekiwać jakiegoś szczególnego wyjścia z sytuacji, gdy bezwarunkowo wiadomą jest decyzja obu stron. W Anglji postanowiono wytrwale przeprowadzać rozszerzony program marynarki, jako odpowiedź na zbrojenia niemieckie. Środki pieniężne niezawodnie się znajdą, o czem Niemcy doskonale wiedzą, podczas gdy same znajdują się w trudnościach finansowych. Te trudności istnieją także w pewnym stopniu i dla Anglji, która musi odczuwać je silniej, gdyż naród angielski potrzebuje więcej wydawać na cele kulturalne we wszystkich stronach kuli ziemskiej, niż Niemcy. Trzeba zatym przystąpić koniecznie do ograniczenia budżetów wojennych, co jednak stać się może tylko za zgodą wszystkich.

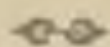
Jeśli Niemcy oświadczają przez usta swego monarchy, że o tem słuchać nie chcą, to dla ocalenia się od pewnej zguby w niedalekiej przyszłości, Anglja musi w tej chwili zdobyć rozbrojenie Niemiec dobrowolnie lub przemocą, ponieważ dziś jeszcze rozporządza tak potężnymi siłami floty i zapewniła sobie przyjazne współdziałanie lub przymierza wszystkich ważniejszych państw europejskich, że rozprawa jej z Niemcami ma za sobą widoczne szanse powodzenia.

Wśród tych rozmyślań, które nastręcza teraźniejsza sytuacja polityczna, zdania i myśli wyrzeczone w poniedziałek przez monarchę niemieckiego brzmią jak zapowiedź groźnych dla ludzkości klęsk przyszłej wojny.

Napróżno szukaliśmy zapewnienia dobrobytu narodów w odwołaniu się Wilhelma II do „sumienia książąt i polityków" lub do odpowiedzialności ich przed Władzą pozaziemską.

Należy raczej wierzyć, że jest sprawiedliwość dziejowa, która nieubłaganą ręką Nemezydy sprowadzi na ziemię tryumf Wolności i Prawdy.

St. Pyrowicz.



OD REDAKCJI.

Do tej pory prenumeratorzy *Prawdy* drogą dobrowolnych ofiar łożyli na kształcenie niezamożnego młodzieńca w jednej z naszych szkół prywatnych.

Polecamy nadal tę sympatyczną sprawę opiece naszych czytelników z racji zbliżającego się roku szkolnego.

KRONIKA.

— Dnia 2 b. m. wyjechało grono kupców i przemysłowców Królestwa do Londynu celem nawiązania stosunków handlowych z Anglją. Wycieczkę zorganizowano na skutek zaproszenia londyńskiej izby handlowej, popartego gorąco przez konsula angielskiego w Warszawie. Wycieczka ma charakter prywatny turystyczno-informacyjny; bierze w niej udział około 60-u osób, podzielonych na 4 grupy, stosownie do marszruty.

— Wycieczkę do Wiednia celem nawiązania stosunków handlowych z Austrją organizuje Stowarzyszenie kupców polskich.

— B. posłowie do pierwszej Dumy skazani za podpisanie odezwy wyborskiej, w miarę upływania terminu nałożonej na nich kary zostają uwalniani z różnych więzień rosyjskich. Po pierwszej partji wypuszczonej z więzienia Petersburskiego, przyszła w zeszłym tygodniu kolej na Moskwę, w której po trzymiesięcznym zamknięciu odzyskali wolność między innymi mec. Aleksander Lednicki, członek Rady Głównej naszego Stronnictwa, oraz pp. Muromcew, ks. Urusow, Szerszeniewicz, Kokoszkin i inni.

— Filharmonja Warszawska zawiesiła swą działalność koncertową i rozwiązała kontrakty z artystami.

— Profesorowie uniwersytetów, ukarani więzieniem za podpisanie odezwy wyborskiej w charakterze posłów do pierwszej Dumy, po odzyskaniu wolności, odzyskali również utracone prawo wykładania w uniwersytetach.

— Żydzi będą nadal przyjmowani do uniwersytetów według norm następujących: do Petersburskiego i Moskiewskiego nie wyżej 3%, do Ryskiej politechniki — [illegible], do Charkowskiego instytutu technologicznego 10%, do uniwersytetów w granicach osiadłości żydowskiej — 10%, do innych — 5%.

— Duma i Rada Państwa mają zająć się od początku sesji jesiennej rozpatrywaniem sprawy rolnej.

— Wystawa rolniczo-przemysłowa otwartą została w Jarosławiu w Galicji.

— Antoni ks. Sułkowski, ordynat na Rydzynie w Poznańskim sprzedał swe dobra obszarem około 1300 włók rządowi pruskiemu, zabezpieczywszy sobie dożywocie.

— Pod Krzeszowicami w Krakowskiem zmarł we własnej willi książę Jan Turchan Murawow profesór fizjologji w akademji medyko-chirurgicznej w Petersburgu. Zmarły był znany jako szczery przyjaciel i protektor Polaków; asystentami jego byli stale Polacy.

— Kuropatkina pamiętniki z wojny rosyjsko japońskiej ukazały się w Nowym-Yorku w tłumaczeniu angielskim. Pamiętniki te są z tego względu nader ciekawe, że odsłaniają wiele spraw zakulisowych i potwierdzają wiele okoliczności, których istnienia opinja publiczna w Rosji domyślała się, których jednak ze względów cenzuralnych nie można było publikować.

— Cesarz Wilhelm ułożył balet p. t.: „Sardanapal" oparty na motywach assyryjskich. Premjera tego baletu odbyła się w Operze królewskiej w Berlinie.

— Henryk Becquerel, słynny fizyk francuski zmarł 25 sierpnia rb. w Croisic, w Bretanji w wieku 56 lat. Zmarły był dożywotnim sekretarzem francuskiej Akademji nauk poświęcał się specjalnie badaniom ciał promieniotwórczych i prace w tym kierunku zyskały mu nagrodę Nobla.

— Zgodnie z przyrzeczeniem mocarstwa zaczęły wycofywać swe wojska z Krety.

— Minister rumuński Sturdza konferował z ks. Bülowem w Norderney.

— Portugalska izba prawodawcza przyjęła projekt konwencji ze Stanami Zjednoczonymi o wydawanie zbrodniarzy. Konwencja wyłącza przestępstwa polityczne, obejmuje jednak zamachy na panujących, które zaliczone są do zwykłych zbrodni.

— Cesarz chiński wydał edykt, w którym zapowiada wprowadzenie konstytucji.

— Kolonje południowo-afrykańskie mają połączyć się w jeden związek na zasadach federacyjnych. W tym celu w połowie października r. b. odbędzie się w Durbanie w Natalu konferencja, w której wezmą udział przedstawiciele Kaplandu, Transwaalu, Oranji, Natalu i Rodezji.



Od Administracji
„Wielka Encyklopedja Powsz. Ilustr."

Wskutek reklamacji wielu osób, że od dłuższego czasu nie otrzymują dalszego ciągu **„Wielkiej Encyklopedji Powsz. Ilustr."**, dostarczanej im zazwyczaj przez p. **St. Uszyckiego**, czujemy się w obowiązku zawiadomić wszystkich jego odbiorców, że p. **St. Uszycki** już od lat 2 przeszło kolporterję „Encyklopedji" zaniedbał i **nadal zajmować się nią nie będzie.**

Wobec tego upraszamy Sz. Prenumeratorów o spieszne zgłoszenie się bądź listownie, bądź osobiście wprost do **Kantoru Administracji „Wielkiej Encyklopedji Powsz. Ilustr." 47 Nowy Świat 47**, po odbiór zaległych zeszytów i tomów, lub też o zapisanie się na listę stałych prenumeratorów, abyśmy mogli zarezerwować dla Nich odpowiednią ilość egzemplarzy wydawnictwa.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Rewolucja i ewolucja, przez Izę Moszczeńską. — Polityka rabunkowa, przez Feliksa Honowskiego. — ODCINEK: In Memoriam, przez Andrè'go Gide (Ciąg dalszy). — Metody propagandy wolnej myśli, przez Józefa Wasercuga. — Konstytucja w Indjach i w Egipcie, przez A. Skotrużewskiego. — NA DOBIE: Komunikat komitetu jubileuszu Al. Świętochowskiego — * * * — Roman Szymański i ruch ludowy, przez I. Moszczeńską. — Przez pryzmat Prawdy, przez Sector. — Echa Prawdy, przez Żądełko. — NAUKA I WYCHOWANIE: Szkoła i dzieci w Szwajcarji, przez M. Ł. — Uniwersytet dla wszystkich. — LITERATURA I SZTUKA: Jerzy Orwicz: Witeź Iwo, przez Mir. — Teatr Letni: Hrabina Cosel, przez Stefana Gackiego. — Z PRASY: Wywczasy polityczne, przez F. H. — * * * — Przegląd przeglądów. — * * * przez K-w. — Memorabilja polityczne, przez St. Pyrowicza. — Od Redakcji. — KRONIKA. — OGŁOSZENIA.

Wydawca: **Wincenty Biskupski.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.